

**GUY. N. SMITH**  
**Powrót Krabów**  
*(The Origin of the Crabs)*

Przełożyła Anna Mackiewicz

PHANTOM PRESS INTERNATIONAL GDAŃSK  
1991

## Rozdział pierwszy

Przez całe popołudnie Freddie Law odpoczywał na miękkim i oszołamiająco pachnącym wrzosowisku. Dookoła wznosiły się potężne szczyty gór, dotykając prawie nieba. Szarość skał urozmaicał brąz zeschniętych paproci. Wysoko w chmurach krążył myszołów, wypatrując ofiary. Po zboczu pędziły w dół wijące się potoki, tworząc pienne wodospady. Zbliżał się wieczór, w oddali, na wodach Loch Merse lśniły ostatnie promienie zachodzącego słońca. Dzikie kaczki sennie kołysały się na powierzchni wody. Freddie Law podniósł się i ustawił ostrość teleskopu. Obserwował okolice, ale jego bystre szare oczy nie dostrzegły nic niepokojącego. Postrzępiona, maskująca kurtka wojskowa idealnie zlewała się z otoczeniem. Nawet gdyby ktoś tędy przechodził, to z pewnością nie zauważyłby go.

Mężczyzna nagle zamarł. Coś ruszało się w dolinie, kilkaset jardów poniżej. Wyteżył wzrok i po chwili zobaczył stado jeleni, które wyszło na odkrytą przestrzeń. Na przedzie kroczył majestatyczny samiec, zatrzymując się co kilka jardów, gotowy do ucieczki w każdej chwili.

— Cóż za cudowny widok — szepnęła Freddie z zachwytem.

Przebiegł raz jeszcze okolice wzrokiem i położył teleskop na ziemi. Wyciągnął się i nieco rozluźnił, zadowolony, że w odległości mili nie ma żadnych ludzi. Nie chciał opuszczać tego miejsca przed zmrokiem, ponieważ obawiał się strażników Cranlarich.

Noc jeszcze nie nadeszła więc nie musiał się

śpieszyć. Ostrożnie zapalił skręta i powoli wypuścił dym, żeby nie zdradzić swej obecności. Leżał na plecach i odpoczywał, zbierając siły przed czekającym go zadaniem. Lewą ręką dotykał niemal z czułością broni, którą zrobił własnoręcznie. Upolował tym oszczepem dobrze ponad tysiąc pstrągów i sporo łososi. Teraz jednak było to zbyt ryzykowne, gdyż rzeka była lepiej niż przedtem obstawiona przez strażników. W Cranlarich czuł się w miarę bezpieczny. Wymykał się Jackowi Rouse i lordowi McKechnie przez ponad dziesięć lat. Miał nadzieję, że nie wpadnie w ich ręce i jeszcze długo będzie mógł kłusować.

Freddie Law nie znał innego sposobu życia. Gdyby nie mógł polować na jelenie w lesie, cietrzewie i króliki na wrzosowisku i łapać pstrągów przed nastaniem tarła, musiałby chyba umrzeć.

Zrobiło się ciemno. Wstał, zawiesił teleskop na ramieniu i ruszył podpierając się oszczepem. Freddie potrafił instynktownie wyczuć każde niebezpieczeństwo. Był pewny, że jego szósty zmysł ostrzeże go.

Mgła opadła na ziemię. Światło małej latarni stało się niewidoczne, i kłusownik postanowił spróbować szczęścia. Czuł, że będzie to wyjątkowa noc, i że nie napotka strażników, torbę zapełni pstrągami, a przed świtem znajdzie się w łóżku.

Wybrał drogę równoległą do Loch Merse. Wolał nie przechodzić przez bagna Cranlarich, jeśli nie będzie to konieczne. Znał bezpieczne ścieżki, które wiły się jak labirynt, przez co wcale nie skracały drogi. Ale zawsze było to mniej ryzykowne niż spacer przez trzęsawisko.

Widział raz, jak bagno wciąga łanię. Nikt nie był w stanie jej pomóc i biedne zwierzę powoli zanurzyło się w ssącym błocie. Freddie patrzył na straszną śmierć i słyszał przerażający ostatni bulgot i świst pęcherzyków

powietrza... Po łani nie pozostał żaden ślad.

Noc była zupełnie czarna, ale kłusownik nie potrzebował światła. Szedł starym, owczym szlakiem wiodącym pod górę do pierwszego potoku.

Gdy przezeń przechodził, lodowato zimna woda zmoczyła go aż po uda. Pstrągi rzadko dopływały tutaj, ponieważ prąd był zbyt bystry, a woda za głęboka. Przedostał się na drugi brzeg i brnął wąską ścieżką wśród gęstych zarośli ciernistego jałowca. Ostre kolce drapały go przez spodnie, ale prawie nie odczuwał bólu.

Minęła godzina, zanim dotarł do dużego potoku. Zatrzymał się i wyjął z kieszeni latarkę. Stał w miejscu, gdzie potok rozszerzał się i wpadał do jeziora. Freddie miał zamiar go przebyć, idąc pod prąd. Był pewny siebie, mimo to, jego ciało przeszedł dreszcz.

To był dla niego smak życia. Inni robią zakłady na wyścigach konnych — on stawia na wygraną w tym nocnym sporcie. Szanse miał bardzo nierówne i albo dostanie wszystko, albo pojedzie do domu z pustymi rękami.

Mgła wirowała i gęstniała. Freddie trzymał oszczep gotowy do rzutu. Całą uwagę skupił na dnie potoku, przeszukując małe zatoczki przy brzegu, z dala od głównego nurtu. Trące się pstrągi lubiły odpoczywać w takich miejscach.

Freddie zauważył słaby ruch — jakiś wydłużony kształt, który mógłby być odłamkiem skały. Zastygł bez ruchu i nagle z niewiarygodnym — jak na jego lata — refleksem, chwycił palcami wijącą się rybę i przybił do dna ostrzem oszczepu. Rzuciła się jeszcze przez chwilę, walcząc o życie. Freddie zaś ośmielony szybkim sukcesem, ruszył dalej.

Nagle zatrzymał się tak gwałtownie, że omal nie

pośliznął się na porośniętych mchem kamieniach. Naprzeciwko niego coś się poruszyło. Skierował tam światło i zdążył jeszcze ujrzeć stworzenie wielkości dużego kota, które właśnie schowało się za kępą trzciny.

— Co to, u diabła? — zaklął głośno, czując, że ogarnia go niepokój.

Przemykający kształt wydał mu się tajemniczy i nienaturalny. Przygryzł dolną wargę, co oznaczało, że jest przestraszony lub zakłopotany.

Sądził, że to lis albo żbik. Ale tutaj żbiki rzadko się pokazują, można je spotkać dalej, na północy. Czasem jakieś pojedyncze sztuki wypuszczają się w południowo-zachodni zakątek Szkocji, ale tutaj nie szukałyby schronienia, nawet gdyby żywiły się rybami. Po chwili, Freddie odetchnął z ulgą. To była wydra. Widział kiedyś jedną, gdy szukał łososi na rzece Annan.

Przymknął oczy. Futro wydry było warte duże pieniądze. W dawnych czasach polowano na wydry dzidami podobnymi do jego oszczepu. Miał więc szansę, o ile wydra nie uciekła gdzieś dalej.

Freddie Law bezbłędnie trafił oszczepem w ryby. Jego nowa ofiara była na dodatek dużo większa. Jeśli pozostała w swoim miejscu, za kępą trzciny, to nie będzie miała szans.

Ostrożnie ruszył naprzód; przeszedł parę stóp, starając się nie pluskać. Latarkę trzymał w wyciągniętej lewej ręce, broń w prawej. Wydra nie mogła się stąd wydostać i gdyby próbowała uciekać, musiałaby go minąć.

Ale nic się nie ruszało. Nie słyszał nic, prócz szmeru wody płynącej po skałach. Kłusownik postąpił krok naprzód. Był pewien, że jego ofiara musiała tam się ukryć.

I wtedy zobaczył zwierzę, a raczej miejsce, w którym siedziało — czarną plamę, nie do odróżnienia w

ciemności, i blask dwojga małych czerwonych oczu. Zwierzę nie poruszało się i wcale nie próbowało uciekać.

-

— Ty bezczelna pluskwo — mruknął. — Czyś ty całkiem zgłupiała?

Freddie Law zamachnął się oszczepem prosto między błyszczące oczy. Ale nie usłyszał miękkiego odgłosu zatapianego w ciele ostrza. Zamiast tego — zgrzyt. Oszczep odbił się od czegoś twardego. Freddie nie spodziewał się takiego obrotu rzeczy, palce zwolniły uścisk, jesionowy uchwyt wypadł mu z dłoni. Prawie upuścił latarkę, krzyknął z bólu i siarczyście zaklął. Odpowiedział mu dziwny, nie wróżący nic dobrego odgłos.

- Klik - klik - klik.

Freddie cofnął się, pośliznął i upadł na kolana. Z niedowierzaniem i lękiem raz jeszcze zapalił latarkę i skierował jej światło na brzeg, ale zwierzę skryło się w trzcinie. Dźwięk, który słyszał przed chwilą, był dziwaczny i niepokojący zarazem, brzmiał jak klekot szczypców kraba.

Loch Merse było połączone z otwartym morzem podziemnym tunelem — tak się w każdym razie mówiło — i czasem kraby przedostawały się do wód jeziora. Freddie złapał kiedyś jednego czy dwa na kolację, ale zasadniczo nie zwracał sobie nimi głowy. Był pewien, że tu, tak wysoko, nie mogły zająć, zbyt daleko było stąd do słonej wody.

Zwierzę podniosło się i Freddie ujrzał je w kręgu światła rzucanego przez latarkę. Był to krab wielkości dorosłego zająca. Jego płonące ślepie pałały nienawiścią, wściekłością.

W ciszy rozległ się głośny trzask, krab stąpnięt na uchwyt oszczepu, i rozłupał go.

— A niech cię diabli. Trzymaj się z daleka!  
— krzyknął Freddie.

Cofnął się, stracił równowagę i upadł z pluskiem w płytką wodę. Pospieszenie stanął na nogi. Krab podszedł bliżej, poruszał się z prędkością nienormalną dla tego gatunku. Freddie nie miał wątpliwości, że skorupiak zamierza go zaatakować.

Rzucił się do ucieczki. W ciemnościach potykał się i przewracał co chwilę. Ręce miał pokaleczone i okrwawione, ale chwycił mocno latarkę i nie puszczał jej. Pokonał około dziesięciu jardów, i spostrzegł z przerażeniem, że monstrum go dogania.

Nagle przyszło mu do głowy, że ucieczka w dół potoku wcale go nie uratuje. Domyślał się, że powinien wydostać się na brzeg, na suchym lądzie zwierzę nie zdoła go dopaść. Zmienił kierunek, upadł raz jeszcze i wtedy krzyknął. Kleszcze chwyciły go za prawy kalosz. Przecięły gumę i wełnianą skarpetę. Freddie poczuł potworny ból. Zdesperowany zebrał siły, szarpnął nogą, chwycił się zwisającej nad wodą gałęzi i wydostał się na porośnięty wrzosem brzeg.

Serce łomotało mu w piersi, oddychał z trudem przez zaciśnięte, gardło. Z lękiem zapalił latarkę i skierował światło na wodę potoku. Olbrzymi krab wciąż tam był, stał bez ruchu i wpatrywał się w niego. Oczy płonęły jak ogniska, hipnotyzując i przywołując Freddiego.

Wzdrygnął się i odwrócił wzrok, po czym, utykając na zranioną nogę, zaczął przedzierać się przez gęstą roślinność, która porastała brzegi potoku. Oszołomiony nie wiedział, w którą stronę ma iść. Chciał uciec, byle jak najdalej od tego nocnego potwora, który przybył tu nie wiadomo skąd.

Kłusownik przeszedł po omacku jakieś dwadzieścia jardów. Okaleczona noga odmówiła mu posłuszeństwa.

Latarka wypadła z ręki, odbiła się o jakiś pień i żarówka roztrzaskała się. Ogarnęły go ciemności.

Zawył cicho ze strachu. Poszycie zaszeleściło. Skulił się i ukrył twarz we wrzosach. Nie mógł iść dalej. Stracił dużo krwi. Nie mógł też walczyć. Modlił się, żeby śmierć — jeśli przyjdzie — była szybka i bez bolesna. Ciemność rozświetliły czerwone światełka i wtedy właśnie stracił przytomność.

chwile później ocknął się. Wydawało mu się, że słyszy przerażający klekot potwora, który skrył się gdzieś w wodach potoku.

— Nie bądź głupcem, Freddie Law — powiedział głośno, dodając sobie odwagi. — Krab nie może ciebie dopaść, nawet taki jak ten. Weź się w garść.

Bolała go kostka. Krew skrzepła w przeciętym kaloszu, była ciepła i lepka. Z ulgą stwierdził, że krwawienie ustało. Zaczął grzebać w kieszeni kurtki w poszukiwaniu zapalek. Wymacał palcami mokre, kartonowe pudełko.

— Ach, przecież nie potrzebujesz światła, żeby znaleźć drogę do domu, Freddie — zaśmiał się histerycznie. — Znasz okolicę lepiej niż sam lord, niecił go diabli!

Odwaga stopniowo powracała, gdy zaczął obrzucać obelgami Bruce'a McKechnie — lorda Cranlarich — i jego leśniczego — Jacka Rouse'a. Próbował wymazać z pamięci olbrzymiego kraba. To był potwór, oczywiście, ale teraz nie mógł mu już zrobić krzywdy. Najważniejszą rzeczą było znaleźć drogę do domu.

Nie mógł iść szybko ze zranioną stopą. Co parę jardów musiał odpoczywać. Słyszał było tajemnicze odgłosy — szelest liści, trzask gałęzi, przypominające klekot strasznego kraba. Freddie czekał przerażony.



Wiedział, że nie będzie w stanie uciec.

Krzewy przed nim rozchyliły się, gałęzie i liście uderzyły go w twarz. Usłyszał pohukiwanie sowy, niezadowolonej, że ktoś przeszkadza jej w polowaniu. Coś zacisnęło się na jego ramieniu, mocno jak imadło. Próbował krzyżeć, ale struny głosowe odmówiły mu posłuszeństwa. Wciąż czując uchwyt upadł na kolana i mamrotał coś bez sensu. Śmiał się do siebie i płakał na przemian.

— W porządku draniu. Masz mnie. Teraz zabij mnie i niech cię diabli wezmą, piekielny potworze!

— A jednak w końcu powinęła ci się noga, Freddie Law! — z ciemności wydobył się szorstki, nieprzyjazny głos. Ktoś ścisnął jego ramię jeszcze mocniej, po czym wykrcił mu rękę. Oświetlił twarz Freddiego latarką, oślepił go. Pierwszym uczuciem, jakiego doznał kłusownik, była ulga. Wiedział, że napastnik jest człowiekiem.

— Jack Rouse! — chrząknął Freddie. — No cóż, masz szczęście, draniu. Nie mam ani strzelby, ani oszczepu, ani noża.

— Widzę. — Krzepki leśniczy wciąż trzymał go za ramię. — Tutaj, Joe, mam tego starego skurwysyna!

Freddie usłyszał czyjeś kroki i obok niego pojawił się drugi mężczyzna. Kiedy przestali świecić mu w twarz, zobaczył, że obaj mają na sobie nieprzemakalne ubrania, getry i szkockie kapelusze. Ich nocne czuwanie, choć raz, nie było bezowocne. Złapali w końcu człowieka, którego szukali tyle czasu.

— Przeszukaj tę torbę, Joe.

Otworzyli płócienną torbę. Freddie jęknął cicho, gdy usłyszał, jak pstrąg uderzył o ziemię.

— To jest to, czego potrzebujemy. — Jack Rouse zbliżył do niego czerwoną, okrutną twarz. — Nie musisz

się tłumaczyć skąd go masz. Mogłeś ukryć swoje oszczerzy i strzelby, wystarczy fakt, że kłusowałeś. Nie potrzebujemy nawet dowodów. To jest Cranlarich, mamy tu własne prawa. I własne, niezawodne sposoby na takich jak ty.

— Spójrz, człowieku — Freddie zawył. — Nigdy nawet nie myślałem o kłusowaniu. Możesz mnie zabrać do szeryfa. Jestem ranny w stopę, mam chyba złamaną nogę w kostce.

— Ach tak — Jack Rouse parsknął śmiechem, skierował latarkę w dół i zobaczył ranę, okrwawiony but i wykręconą kostkę. — Pewnie wlałeś przez pomyłkę w jedną z własnych pułapek, co?

Obaj strażnicy roześmiali się.

— Musicie mnie wysłuchać — rzekł Freddie błagalnie. — Tam, w dużym potoku jest... potwór.

Przez parę sekund panowała cisza. Dwaj mężczyźni spojrzeli najpierw na siebie, a potem na kłusownika.

— Nie myślisz chyba — twarz Rouse'a stężała — że uwierzymy w tego jakiegoś kraba? Może coś siedzi w Loch Ness, kto wie! Może nawet w Loch Merse, jeśli ktoś ma wybujałą wyobraźnię, ale nie w tym pieprzonym strumyczku. Joe, musimy temu obłąkanemu, staremu draniowi wybić z głowy te głupoty.

— Jack — niezdecydowanie zaprotestował podleśniczy. — Ten facet jest ranny.

— Będzie jeszcze bardziej ranny. Zaraz z nim skończymy. — Jack Rouse chwycił starego człowieka za poły mokrej kurtki i uniósł go. — Pokażemy mu, co się robi z kłusownikami w majątku Cranlarich.

Wielka, zaciśnięta pięść walnęła Freddiego w brzuch. Rozległ się głuchy odgłos. Kłusownik stęknął i upadł. Wyszeptał jakieś słowa, ale to nic nie pomogło.

Uderzenie w twarz było tak silne, że przewróciłby się po raz drugi, gdyby napastnik nie chwycił go za ramię.

— Przestań, Jack. Nie chcesz chyba zabić tego starego obdartusa.

— Nic mu nie będzie. — Rouse zaśmiał się i uderzył raz jeszcze.

Po raz drugi opuścili Freddiego Lawa siła i wola oporu. Miał wrażenie, że unosi się w powietrzu i leci w kierunku rozwartej czarnej jamy, w której połyskują czerwone i zielone światła. Po chwili nie czuł już uderzeń, które spadały na jego nieprzytomne ciało.

Rozwidniało się, gdy Freddie odzyskał świadomość. Padał deszcz. Mężczyzna leżał jeszcze jakiś czas na skraju doliny, czując, że chłodne krople przynoszą ulgę jego zbolałemu ciału. Powoli wracały wspomnienia zeszłej nocy.

— Chyba jestem obłąkany — jęknął i próbował wstać.

Najbardziej bolała go kostka. Spojrzał w dół na przecięcie gumowego buta.

— To na pewno sprawka McKechniego. — zaklął. — Drań nie mógł mnie złapać, więc wymyślił podstęp. Wiedział, że przyjdę na pstrągi i sprowadził do potoku potwora. Wyhodował wielkiego kraba i chciał poszczuć mnie nim.

Było już południe, gdy dotarł do skraju wsi. Wąska ulica była całkiem wyludniona. Freddie oddychał bardzo ciężko. Niedowidział, lewe oko miał spuchnięte. Mimo to dostrzegł lekki ruch zasłon w oknach i twarze, które śledziły go ukradkiem. Mieszkańcy Cranlarich obserwowali go, ale nikt nie wyszedł, żeby mu pomóc.

Raz jeszcze zachwiał się na nogach. Zastanawiał się, czy gdyby upadł, ktoś wyszedłby z domu

i pomógł mu się pozbierać. Zostawiliby go leżącego tu, mógłby nawet umrzeć na środku drogi, nikt by się nie ruszył. Takie właśnie było Cranlarich — mała wioska, w której ludzie kryli się za zamkniętymi drzwiami domów, bo bali się Bruce'a McKechniego i jego ludzi. Miejsce odcięte od świata z jednej strony górskim pasmem Criffel, z drugiej — moczarami Solway. Wszyscy bez wyjątku, byli więźniami.

— Co się panu stało, panie Law, czemu jest pan w takim stanie?

Freddie zatrzymał się i próbował odwrócić głowę, żeby zobaczyć, kto stoi za nim. Po paru sekundach rozpoznał mówiącego po głosie. Był to głos wielebnego Dugusa Dalglisha, pastora.

Duchowny stanął przed Freddiem. Spojrzał w dół i na jego różowej, okrągłej twarzy odbiło się zdumienie i niepokój.

— niewątpliwe znów pan kłusował, panie Law — rzekł z wymówką w głosie. — Kradł pan cudzą zwierzyne! Jednakże pana wygląd budzi współczucie. Kto panu to zrobił?

— Nie domyśla się wielebny?

— O, tak — westchnął, rezygnując z odpowiedzi. — Domyślam się, pewnie leśniczy lorda?

— To bandyci, wielebny.

— Będą musieli odpowiedzieć za to w dzień zapłaty. Bóg osądzi ich srogo, panie Law.

— A czy jest coś, co możemy zrobić, zanim to nastąpi?

— Możemy się modlić, panie Law. Modlić się, żeby wszystko dobrze się ułożyło w tej dolinie.

Freddie Law ledwo się powstrzymał, żeby nie wybuchnąć gniewem. Wyprostował się z trudem i z

wdzięcznością przyjął wyciągniętą dłoń pastora.

— Na pewno coś można zrobić, wielebny.

Przez parę sekund duchowny milczał. Nie powiedział nic, dopóki nie skręcili w kierunku chaty kłusownika.

— Rzeczywiście, sprawy nie mają się dobrze. Ten człowiek, McKechnie, jest wyznawcą szatana, jestem tego pewny. Jego brat był dobrym człowiekiem i wieśniacy darzyli go szacunkiem. Ale po jego przedwczesnej śmierci, gdy spadł w przepaść...

— Został zepchnięty, pastorze...

— Proszę tak nie mówić, panie Law. Nie można nikogo osądzać na podstawie plotek. Nikt nie wie, jak było naprawdę. Bruce McKechnie stworzył tu imperium łowieckie, jak sam mówi. Odebrał wieśniakom pastwiska i zamienił je na tereny do polowania na cietrzewie dla bogatych gości Cranlarich. Tym, którzy sprzeciwiali się nowym porządkom, zdarzały się różne wypadki. Ferguson, na przykład, utonął w jeziorze, bo nie chciał przeprowadzić swoich owiec na łąki przylegające do mokradeł. A MacPherson, jak mówią, utopił się w bagnie po pijanemu, ale wszyscy wiedzą, że kłócił się z lordem w Royal Stag o prawa do łąk. Pomimo to, nie wolno nam oskarżać, panie Law.

— Bo nie mamy odwagi — wciąż twierdził Freddie.

— Powtarzam, wielebny, nikt z nas nie ma odwagi stanąć przeciwko temu diabłu. Tu nie pomogą piękne gadki o przebaczeniu i wierze w Boga. Ja... no cóż, mimo tego, co przeszedłem zeszłej nocy, będę dalej kłusował.

— Tak, kłusować, kraść — DalGLISH sypał oskarżeniami — i kryć się, żeby cię nie złapali.

— Nie narzekam na swój los, wielebny. Jestem trochę ranny, ale wyliżę się z tego w tydzień lub dwa. Ale jest coś, co powinien wielebny wiedzieć i może napomknąłby o tym w niedzielnych modlitwach...Co

takiego?

Coś... coś dziwnego jest w dużym potoku...

Cóż pan ma na myśli? Pułapka na kłusowników? Wszedł pan w nią?

Nie, wielbny. To... potwór. Ależ to bzdura! I oczekuje pan ode mnie, że ja przejmę się pańskimi kłamstwami i uwierzę w te bezsensowne historie, które opowiada mi człowiek żyjący z kradzieży cudzej zwierzyny?

Pan jest pijany, panie Law i dopóki pan nie wytrzeźwieje, nie chcę mieć z panem do czynienia, Dostojny pastor poczerwieniał z oburzenia, odwrócił się na pięcie i dużymi krokami odszedł w przeciwnym kierunku. Firanki znów się poruszyły w oknach po obu stronach drogi. Ale drzwi pozostawały zamknięte. Freddie Law westchnął i powłócząc nogami wszedł do mrocznej, ponurej chaty. W ciepłe przytulnego mieszkania zdarzenia zeszłej nocy zdały się dalekie od rzeczywistości. A jednak wiedział, że olbrzymi krab istnieje. Nie był wymysłem wyobraźni. Tym niemniej, wiedział aż nadto dobrze, że nie ma sensu opowiadać komukolwiek o nocnych przeżyciach. Wystawiłby się tylko na kpiny mieszkańców Cranlarich.

## **Rozdział drugi**

Bruce McKechnie — lord Cranlarich — zaciągnął się głęboko hawańskim cygarem i stojąc na brzegu Loch Merse, obserwował swą posiadłość. Jego wysoka, imponująca postać budziła grozę wśród mieszkańców okolicznych wsi. Nieskazitelna

marynarka i miękki, myśliwski kapelusz były skrojone z drogiego tweedu. Bryczesy' uszyto specjalnie dla niego w Sawille Row, a skórzane sztylpy wypolerowane były na wysoki połysk.

Rysy twarzy zdradzały okrucieństwo, były surowe i beznamiętne. Przerazały przymknięte, bladoniebieskie oczy. Wiek lorda trudno było określić. Jego jasne, niemal białe włosy doskonale maskowały pasemka siwizny.

Jack Rouse dobił do brzegu małą, wiosłową łódką i podszedł do swego pracodawcy.

— I co? — rzucił McKechnie nie zadając sobie trudu, żeby wyjąć cygaro z ust.

— Jezioro jest pełne, sir. Mnóstwo ryb wszelkich odmian. Przyplęły ławice pstrągów.

— Doskonale. — Lord nie pozwolił sobie na uśmiech. — Myślę, że w następnym sezonie możemy zaoferować najlepsze tereny rybackie w Zjednoczonym Królestwie.

— Zawsze mieliśmy dużo ryb, ale nigdy tyle co teraz.

— Bez wątpienia. Pogłoski o podwodnych próbach nuklearnych, jakie Rosjanie przeprowadzili na kole podbiegunowym zeszłego lata, były prawdziwe — odrzekł McKechnie. — Połowy dorsza są od tamtej pory rekordowe. Zapomniano o wojnie dorszowej po prostu dlatego, że nagle ryby starcza dla wszystkich. W dodatku dorsze są olbrzymie, jak gdyby miała miejsce jakaś

mutacja. Mieszkańcy wód przemieszczają się na południe, szukają schronienia. A gdzie może być lepiej niż w spokojnym i cichym Loch Merse, co, Rouse?

— To się wydaje prawdopodobne, sir — zgodził się tamten — ale... no...

— Co cię martwi, he?

— Między skałami na wschodnim brzegu są... są jakieś kraby, sir, i... no... one nie wyglądają na takie sobie zwykłe kraby, jeśli wie pan, co mam na myśli.

— Nie, nie wiem, co masz na myśli, Rouse

— warknął McKechnie. — Mają pięć nóg? A może wyrosły im skrzydła albo coś równie dziwnego?

— Nie, sir — odparł z zakłopotaniem. — Nic takiego, sir. One są po prostu duże. Za duże. Okropne. Boże mój, to coś złego!

Bruce McKechnie przyglądał się leśniczemu przez kilka chwil w milczeniu. Zazwyczaj czerwona twarz Rouse'a, była teraz blada, a jego wielkie dłonie drżały.

— chciałbym je zobaczyć — spokojnie powiedział lord. Wyjął cygaro z ust i starannie strząsnął popiół. — Popłyniemy łodzią, piechotą byłoby daleko.

Jack Rouse skinął głową i zaczął spychać łódź z powrotem na wodę. Ruszał się powoli i niechętnie. Nagle przypomniał sobie incydent sprzed paru dni — pobicie kłusownika i jego opowieść o potworze. Od chwili, gdy sam zobaczył olbrzymie kraby, nie naśmiewał się już z tej historii. Bez wątpienia Law coś widział.



— Pamięta pan, jak mówiłem, że złapaliśmy tego faceta, sir? — spytał, gdy wypłynęli na głębszą wodę.

— A, tak — odrzekł McKechnie obojętnie, jakby przestało to mieć dla niego znaczenie. — Co z nim?

— Gadał coś o potworze w potoku. Nie przywiązywaliśmy do tego żadnej wagi, ale może... może coś w tym było.

— Nie sądzę. — Lord pochylił się, ujrawszy wielkiego pstrąga, który przemknął koło dziobu łodzi. — Wiesz równie dobrze jak ja, Rouse, że wieśniacy wyolbrzymiają pewne sprawy. Zaczęła krążyć nowa plotka o moim bracie.

— Plotka? — Tym razem Rouse opuścił słówko „sir”, a w jego głosie zabrzmiała nuta prowokacji. — Wie pan równie dobrze jak ja, co się stało.

— Ty go zabiłeś, Rouse, zepchnąłeś go z urwiska. To samo zrobiłeś z dwoma innymi ludźmi, którzy weszli mi w drogę.

— Wykonywałem pańskie rozkazy... sir.

— I tak powinno być, Rouse. W każdej chwili mogę pozbawić cię życia, więc lepiej, żebyś nie miał żadnych głupich pomysłów. Nie dawałem ci pisemnych instrukcji, nie masz świadków. Udowodnić cokolwiek byłoby bardzo trudno...

— Ja tylko mówię, że...

— Więc nie rób tego. I nie proś mnie o pieniądze, bo ich nie dostaniesz. Czy mówię jasno?

Leśniczy skinął głową. Zapadła cisza, słychać było tylko szmer wiosł w ciemnej, głębokiej wodzie. Każdy z

nich pograżył się we własnych myślach. Jack Rouse wspominał Jamesa McKechnie, człowieka szczerego i łagodnego, i owo fatalne polowanie kiedy to namówił poprzedniego lorda, żeby w poszukiwaniu zwierzyny wszedł na najwyższy szczyt. Niskie chmury zasłaniały scenę morderstwa i stłumiły krzyk.

Innej, podobnej nocy, w bagnie zatonął MacPherson razem ze swymi argumentami, których nikt nie chciał słuchać. Głowę Fergusona trzymał Rouse długo w wodzie, zanim ten nie przestał dawać znaków życia, po czym zabrał ciało na środek jeziora i zatopił. Znalezione je na brzegu dopiero po tygodniu.

Bruce McKechnie, siedząc obok, myślał o młodej dziewczynie, córce ziemianina z Royal Stag. Służyła mu wszystkim. Informowała go o tym, co dzieje się we wsi. Zastanawiał się, jak długo będzie w stanie utrzymywać tych prostych ludzi w posłuszeństwie. Kochali go lub nienawidzili. A on musiał mieć ich szacunek. Powinni znać swoje miejsce, jak ich przodkowie w czasach feudalnych. Być może było błędem zakazywać wypasu owiec na wrzosowiskach, ale gdyby tego nie zrobił, cietrzewie zostałyby wypłoszone, a wtedy jego bogaci klienci nie mieliby tutaj czego szukać.

Myśli przerwało mu szuranie dna łodzi po skale. Dobili do wschodniego brzegu. Uniósł głowę i ujrzał u stóp góry Criffel duży biały dom — jego dom. Wszystko było jego.

— No, gdzie są te kraby, Rouse? — warknął.

— W tej chwili nie widzę żadnego. — Leśniczy

przysłonił oczy dłonią, oślepiało go popołudniowe słońce przeszukiwał wzrokiem skalisty brzeg.

— Jesteś pewien, że ich nie wymyśliłeś? — spytał lord z widocznym sarkazmem.

— Nigdy nie wymyślam bzdur, sir.

— Więc idźmy na brzeg, poszukamy ich.

McKechnie wyszedł na plażę, a Jack Rouse wyciągnął łódź z wody. Nad nimi krzyczało kilka mew i gdzieś w oddali śpiewał swą samotną pieśń kulik. W zasięgu wzroku nie było jednak żadnych krabów.

— Zazwyczaj siedzą między skałami na brzegu — oznajmił Rouse, jak gdyby próbował przekonać nie tylko swego pracodawcę, ale i siebie. Leśniczy nie był pewien, czy chce zobaczyć jakieś kraby, czy nie. Nagle ogarnął go strach — przypomniał sobie słowa Freddiego.

Bruce McKechnie kroczył wielkimi krokami brzegiem jeziora. Był wytracony z równowagi. Działy się tu jakieś dziwne rzeczy, to pewne. A Jack Rouse nie był typem człowieka, który popuszcza cugle wyobraźni. A przy tym, w przyszłym tygodniu planował polowanie i zaprosił sporo gości. Nie chciał niepotrzebnego rozgłosu. Musiał coś zrobić, żeby go uniknąć. Niezależnie od tego, czy w Loch Merse żyły olbrzymie kraby, czy nie, ta wiadomość powinna pozostać w tajemnicy.,

Rouse szedł śladem McKechniego, nie mógł za nim nadążyć. Przystanął, żeby trochę odpocząć. Wytarł pot z czoła. Mimowolnie spojrzął w zarośla.

I wtedy zobaczył kraba. Potwór leżał bez ruchu między wielkimi pniakami. Lord nie zauważył go, gdyż

kolor pancerza był idealnie dopasowany do otoczenia. Krab wolno podchodził do Jacka Rouse'a. Groźnie poruszył szczypcami i utkwiał w leśniczym błyszczące nienawiścią oczy. Patrzył z wściekłością, wiedział, że stoi naprzeciw człowiekowi, który się go boi.

Rouse stanął i otworzył usta, ale krzyk uwiązł mu w gardle. Wytrzeszczył oczy w przerażeniu i niedowierzaniu. Stworzenie było większe niż owczarek i prawie dwa razy większe niż kraby, które spotkał poprzednio. Zresztą tamte uciekały gdy się zbliżał. Ten zaś nie miał zamiaru się wycofać. Wręcz przeciwnie podchodził coraz bliżej.

Nagle Rouse rzucił się do ucieczki. Próbował wspinać się po śliskiej skale, ale nie znajdował oparcia dla stóp i powoli zsuwał się z powrotem na dół. Znajdował się teraz jeszcze bliżej potwora. Olbrzymie kleszcze poruszały się.

- Klik - klik - klik.

— Jezu Chryste! — Bruce McKechnie odwrócił się słysząc krzyk i zastygł, ujrawszy potworną scenę.

Była to jedna z nielicznych chwil w jego życiu, kiedy się bał. Polował w Kenii, brał udział w łowach na foki i na kangury w Australii. Całe życie spędził na ściganiu i zabijaniu zwierzyny — i nagle poczuł, że tym razem człowiek jest ofiarą.

Krab dopadł swoją ofiarę, jego cielsko przykrywało górną część ciała Rouse'a. Rozległ się kolejny krzyk. Obciążona stopa wierzgnęła w powietrze i spadła na

ziemię. Rozległ się dźwięk, który lord słyszał kiedyś, będąc w rzeźni; chrzęst rąbanych, miażdżonych, łamanych kości.

Zapomniał o Jacku. Cofnął się, ale nie wpadł w panikę. Wyrzuciły się z wody. Pięć olbrzymich krabów, nie aż tak wielkich jak ten, który właśnie skończył z Rousem, ale wystarczająco dużych, żeby rozszarpać człowieka na strzępy.

Spojrzał w tył na olbrzymiego kraba. Z paszczy wystawały resztki ludzkich wnętrzności... cały pancerz zachlapany był krwią ofiary.

McKechnie poczuł, że żołądek podchodzi mu do gardła, chciało mu się wymiotować. Wiedział, że musi zapanować nad sobą, zachować zimną krew.

— Wy skurwysyny, dranie — krzyczał głośno, szukając w przekleństwach odwagi. — Brudne, wielkie skurwysyny!

Zatrzymały się, jakby rozumiejąc jego słowa. Pięć monstrialnych skorupiaków gotowych było przewrócić tego słabowitego człowieka i pożreć go, a może nawet walczyć między sobą o kawałki krwistego, ciepłego mięsa. McKechnie wiedział, że najmniejszy błąd skończy się tragicznie. Wielki krab szykował się do ataku. Pozostałych pięć prawie go otoczyło. Ale nie całkiem. W kole śmierci była przerwa. Prędko skoczył w to jedyne miejsce.

McKechnie nie mógł uwierzyć, że te niezdarne wyglądające stworzenia, są w stanie tak szybko się poruszać. Szczypce musnęły nogawki bryczesów, dotknęły ramienia. Słyszał, jak kraby świszczwały z wściekłością.

Dwa z nich rozpoczęły pościg. McKechnie biegł, pewnie stawiając stopy, przeskakując i pokonując przeszkody. Dotarł do łąki. Dopiero wtedy zatrzymał się

i oddychając ciężko, spojrzął do tyłu. Kraby, które goniły go, teraz zmierzały z powrotem do Loch Merse. Pozostałe zniknęły gdzieś, nawet ten największy.

— Jezu! — McKechnie wyszeptał zdyszany.  
— Skąd się to, u diabła, wzięło?

To było wprost niewiarygodne. Dwa skorupiaki zmieniły kierunek i nagle zatrzymały się. Rozległ się dźwięk rozłupywanego drewna. Dostrzegły łódź i stwierdziły widocznie, że ten przedmiot należy do człowieka i stanowi dla nich zagrożenie. Seria cięć ich mocnych szczypiec zdruzgotała ją całkowicie. Pozostała tylko sterta luźnych desek, nadających się na podpałkę.

McKechnie usiadł na piasku i ze skórzanej cygarnicy, którą trzymał w wewnętrznej kieszeni marynarki, wyjął długie cygaro i włożył je do ust.

Lekko drżącą ręką zapalił je i wciągnął dym głęboko do płuc. Niebezpieczeństwo minęło. Strach przeszedł. Znow był lordem, władcą bagien i gór. Stwory z głębi zagrażały jego królestwu. Musiał je zniszczyć, on sam. Ale teraz potrzebował czasu do namysłu.

Bruce McKechnie, był prawdopodobnie jedynym człowiekiem, świadomym istnienia morderczych krabów w Loch Merse. Może widział je jeszcze kłusownik, Freddie Law, ale raczej nikt nie uwierzyłby bredniom starego pijaka o jakichś potworach. Jack Rouse zginął. Lord nie miał zamiaru wracać na miejsce jego śmierci. Wysnuł logiczny wniosek, że nawet jeśli **kraby dotąd** nie zjadły zdobyczy, wrócą po zmroku. Rouse po prostu zniknął z powierzchni ziemi. Jego nieobecność łatwo będzie mógł wyjaśnić. Wieśniacy na pewno nie będą opłakiwać odejścia Rouse'a z Cranlarich. Nie miał krewnych. A zawód leśniczego jest niepewny. Przychodzi się i odchodzi. Jack odszedł właśnie gdzieś

na lepszą posadę.

Dla McKechniego śmierć leśniczego była korzystna. Teraz nikt nie mógł nic powiedzieć o losie Jamesa McKechnie. Nad głową Bruce'a przestała wisieć groźba szantażu. Trzeba przyznać, że w tym względzie kraby zrobiły mu przysługę.

Jednak, przede wszystkim, musiał trzymać te stwory poza zasięgiem ludzkich oczu. Wiedział dobrze, co by się stało w innym przypadku. Klasycznym przykładem było Loch Ness. przyjechaliby naukowcy z baty sferami i wszelkim innym wyposażeniem do badania dna jeziora. Zjechałoby tysiące turystów, obsiadając całe Cranlarich. Imperium, które budował z takim trudem, zostałoby zniszczone w ciągu jednej nocy. Tereny łowieckie ległyby w gruzach.

Ruszył w drogę powrotną. Ale nie szedł do dużego domu. Skręcił w kierunku małej, na wpół rozwalonej chaty ukrytej w lasu. Była to siedziba głównego leśniczego — tu mieszkał Rouse. Stary, kryty austin stał na trawiastej drodze, przy drzwiach frontowych. Lord uśmiechnął się do siebie.

Drzwi były otwarte, wszedł więc do środka i zapalił lampę naftową na stole. W pomieszczeniu unosił się zapach brudnych ubrań i nieświeżego jedzenia. Zaczął wnosić różne przedmioty do wozu: ubranie, stare fotografie, kilka książek przyrodniczych. Na szczęście Rouse miał niewiele dobytku. McKechnie wyniósł więc wszystko w niecałą godzinę. Raz jeszcze wszedł do środka, sprawdził, czy nic nie przeoczył, zdmuchnął lampę i wrócił do wozu. Akumulator był stary, rozrusznik obracał się wolno. W końcu jednak, silnik zaskoczył. Skręcił w wąską, leśną drogę i skierował się w górę.

Ścieżka była stroma i kręta. Nie zapalił świateł. Obawiał się, że może zostać zauważony. Znał teren

wystarczająco dobrze, aby jadąc powoli, dotrzeć na małe wzgórze położone dokładnie nad moczarami. Westchnął z ulgą, wyszedł z wozu i ruszył przed siebie.

Grunt chylił się łagodnie, a potem kończył się stromym urwiskiem, wysokim na jakieś 50 stóp. Było ciemno, ale lord wiedział dobrze, że na dnie przepaści jest bagno Cranlarich.

Wrócił do wozu, otworzył przednie drzwi i sięgnął do środka. Wymacał dźwignię ręcznego hamulca i zwolnił go. Auto zaczęło zjeżdżać w dół po zboczu, nabierając prędkości.

McKechnie słyszał, jak samochód ociera się o skały. W kilka sekund później bagno zabulgotało i pochłoneło na zawsze samochód Jacka Rouse'a.

Zapadła cisza i lord ruszył z powrotem. Wykonał tej nocy kawał dobrej roboty.

W gabinecie lorda Cranlarich, na białych ścianach wisiało kilka par jelenich rogów i stare sztuki broni palnej. Szerokie, łukowate okno wychodziło na Loch Merse, bagno i Criffel, którego szczyty były teraz niewidoczne. Zapowiadał się typowy, jesienny dzień, słabe promienie słońca przenikały wirującą, szarą mgłą i migotały na wodzie.

Bruce McKechnie podniósł głowę znad biurka, powoli i starannie złożył najnowszy numer „Financial Times” i spojrzął na niewysokiego, ciemnowłosego, odzianego w pumpy mężczyznę.

— Tak, Joe — Lord uśmiechnął się lekko. — Myślałem właśnie o tym, żeby cię zawiadomić o awansie.

— Zostałem awansowany, sir? — zapytał z niedowierzaniem.

— Tak, Joe — rzekł McKechnie, zapalając pierwsze



tego dnia cygaro. — Od tej chwili jesteś naczelnym leśniczym w majątku Cranlarich.

— Ale... ale... — Joe Kinlet wytrzeszczył oczy. — Ale... co z... co z Jackiem?

— Jack Rouse wyjechał. — McKechnie mówił powoli, obserwując uważnie reakcję młodego człowieka. — Tak to już bywa w tej profesji. Powiedzmy sobie szczerze, nie był najlepszym leśniczym. Świadczą o tym wyniki polowań w zeszłym sezonie. A wczesne polowanie na cietrzewie było wprost fatalne. Głównie z powodu złej organizacji. Zresztą zaważyły na tym setki jeszcze innych rzeczy. Wystarczy powiedzieć, że tej nocy Jack i ja wymieniliśmy parę słów. Powiedziałem mu, że Cranlarich zyska na jego nieobecności, więc spakował swój wóz i wyjechał. Teraz wszystko zależy od ciebie, Joe.

— Tak, sir! — w głosie Kinie ta brzmiała radość. — Zrobię wszystko co w mojej mocy, sir.

— Dobrze. W poniedziałek będziemy mieli gości. Dwóch strzelców, którzy przyjeżdżają regularnie każdego sezonu. Wiedzą, czego się spodziewać. Nie chcę ich zawieść. I... jeszcze jedno. Ograniczymy teren polowania na kaczki do stawów na bagnach. Myślę, że musimy potraktować jezioro jako rezerwat, jeśli chcemy utrzymać przyłoty kaczek do Cranlarich podczas sezonu.

— Ale... ale — wyjąkał Joe Kinlet. — Zawsze strzelaliśmy do kaczek na Loch Merse. Jest tak duże, że i tak może pełnić funkcję rezerwatu. Poza tym są tam gęsi, sir. O tej porze roku zawsze zaczynają przylatywać z Perthire. Wielu stałych bywalców chciałoby polować na gęsi.

— To rozkaz, Joe. — Bruce McKechnie zmierzył

nowego naczelnego wzrokiem, który pracownicy lorda znali aż nadto dobrze. — Nie chcę, aby ktokolwiek kręcił się w pobliżu jeziora bez wcześniejszego zawiadomienia.

— Tak, sir — Joe Kinlet skinął głową i ruszył do drzwi. — Będę tego pilnował, sir.

Bruce McKechnie wstał i podszedł do okna. Słońce przeświecało przez mgłę. Wody Loch Merse mieniły się tęczą barw.

Po chwili lord odwrócił się i zgaśli dopalające się cygaro w wielkiej popielnicy.

— Cholerne kraby! — Walnął pięścią w biurko. — Cóż za pech! Musiały wybrać właśnie moje jezioro! Mój boże, jak długo jeszcze mogę trzymać w tajemnicy ich obecność.

---

## **Rozdział trzeci**

Christine Blacklaw odpoczywała leżąc na łóżku w swym mieszkaniu, na poddaszu Royal Stag. Spojrzała leniwie na swoje odbicie w zakurzonej, wielkim lustrze garderobianym. Uśmiechnęła się z satysfakcją. Wyglądała doskonale. Wyprężyła swe nagie ciało, czekając niecierpliwie na kochanka.

Ciemne włosy sięgały jej prawie do pasa. Czarne oczy, osadzone blisko siebie zdradzały przebiegłość. Gdyby nie Bruce McKechnie, nie byłoby dla niej w Cranlarich nic wartego uwagi. Musiałyby stąd wyjechać, może do Glasgow, a może nawet do Aberdeen, gdzie wśród ludzi morza można było żyć całkiem nieźle. Jej rodzice również musieliby

wyjechać, gdyż dochód z Royal Stag nie wystarczyłby na utrzymanie, gdyby nie pomoc lorda.

Jej umysł zaprzętała myśl o małżeństwie. Bądź co bądź, istniała taka możliwość. Nie była zakochana w lordzie, ale miał on przecież dużo 'uroku. Mogłaby żyć z mężczyzną dwa razy od. dniej starszym, pod warunkiem, że miał kilka tysięcy akrów ziemi, wioskę i milion funtów. Nie próbowała się nawet przekonywać, że McKechnie ją kocha. Nawet gdyby po paru latach znudził się nią, musiałyby rozwieść się i przekazać jej część majątku. Wtedy miałyby wolność i bogactwo.

Zadumę przerwał odgłos kroków na skrzypiących schodach. Zastygła. Tego wieczoru naprawdę pragnęła mężczyzny i tym razem, jej kocanek nie musiał być koniecznie multimilionerem.

Drzwi się otworzyły. Bruce McKechnie wszedł do pokoju. Był ubrany w marynarkę z Norfolk i bryczesy do konnej jazdy. Spojrzał na leżącą na łóżku dziewczynę, ale jego twarz pozostała niewzruszona.

— Spóźniłeś się — wymruczała Christine i zamknęła oczy. — Myślałam, że nie przyjdiesz dziś wieczorem.

— Miałem ważne sprawy do załatwienia — odparł szorstko.

Zdjął marynarkę, przewiesił ją przez krzesło i usiadł na łóżku. Odnalazła jego rękę i lekko ją uściśnęła.

— Zaczynałam się martwić — miała nadzieję, że troska w jej głosie zabrzmii szczerze. — Ludzie gadają...

— Ci cholerni chłopci zawsze plotkują. O czym tym razem?

— O tobie... o mnie... o nas... o jeziorze.

— Co mówią o jeziorze? — warknął, oczy mu się zwężyły, ciało nagle zeszywniało.

Otworzyła oczy i zamruła powiekami, zaskoczona i oburzona.

— Więc bardziej się martwisz tym, co mówią o jeziorze, niż tym co gadają o nas?

— Przepraszam — uśmiechnął się lekko. — To tak... no wiesz, nie rozumiem po prostu, dlaczego mieliby plotkować o Loch Merse!

— Przesady, jak myślę. — Przyglądała mu się teraz uważnie. — Freddie Law był ostatnio w ba- rze. Twoi ludzie niezbyt dobrze się z nim obesзли, prawda?

— Były drobne kłopoty w nocy. Kłusował. Musiałem go nauczyć porządku, inaczej poszedłbym z torbami.

— On twierdził, że tam był... no, że widział coś dziwnego, jakiegoś wielkiego kraba.

Lord roześmiał się. Miał nadzieję, że śmiech zabrzmiał szczerze i zamaskuje jego konsternację.

— Ależ to zabawne! Wielki krab! Przypuszczam, że niedługo potwór z Loch Ness zawiadomi nas, że zmienia mieszkanie i przenosi się do Loch Merse. Tym niemniej, nie chcemy chyba, żeby rozeszła się wieść, że do Cranlarich przybędzie Joe Public z żoną.

— Och, nie sądzę, żeby ktokolwiek brał go poważnie. — Uśmiechnęła się i wsunęła jego dłoń pod fałdy delikatnej bielizny. — Ale o nas też mówią. Jestem tylko twoją dziwką, prawda, Bruce?

— To zazdrość.

— A jednak to prawda.

— Nie, nieprawda. — Ich usta spotkały się w długim pocałunku. — Nie zwracaj na nich uwagi.

Chciała jeszcze coś powiedzieć, ale jej pożądanie rosło, a rozkosz była dla niej najważniejsza. Szczupłymi palcami zaczęła rozpinać guziki jego koszuli, pomagała mu zdjąć resztę ubrania, całowała go i pieściła.

Coś jednak zaprzętało myśli jej **kochanka**. Całował namiętnie i kochał się z nią gorąco, ale było inaczej niż zwykle. Czymś się martwił.

W końcu jednak osiągnęli szczyt. Ściskali się nawzajem kurczowo, drżeli, tarzali się po łóżku, dopóki nie zastygli wtuleni w siebie. Minęło pół godziny, zanim uwolnił się z jej objęć.

— Muszę zrobić parę rzeczy — powiedział Bruce. Unikając jej badawczego wzroku, sięgnął po ubranie.

— To ważniejsze ode mnie?

— Nic nie rozumiesz.

— Masz rację. Nigdy nie dajesz mi szansy. Tak jak mówiłam, jestem po prostu twoją dziwką. Nigdy mi się nie zwierzasz.

— Masz i tak dużo swoich zmartwień. — Oczy lorda zabłyśły w złości.

— Dałabym sobie radę. — W niej również wzrastał gniew. — Musisz coś zrobić z Loch Merse, prawda? Coś tam się dzieje, a ty boisz się, że wyjdzie na jaw. Co to jest? Może przemyt indyjskich konopii łodziami podwodnymi z Salway przez ten mityczny podziemny tunel?

— Nie bądź głupia!

— No cóż, coś się dzieje. Nie możesz tego ukryć przede mną, Bruce.

— Wiem — westchnął i z wysiłkiem opanował wzrastający gniew. - Przepraszam. Jestem rozdrażniony. Nie chcę plotek, które mogą tu sprowadzić tłumy ciekawskich turystów z wielkich miast, właśnie teraz, gdy zaczyna się pełnia sezonu łowieckiego. Jack Rouse wyjechał zeszłej nocy. To oznacza, że cała praca spada na Joe Kinleta, a on nie ma doświadczenia.

— Rozumiem — nie była całkiem przekonana. — Cóż, będę miała oczy i uszy otwarte. Przyjdiesz

zobaczyć się ze mną jutro, prawda, Bruce?

— Tak. — Kiwnął głową. — Przyjdę. Obiecuję.

Słońce grzało mocno i łaśliwi naganiacze pocili się obficie. Na środku drogi, biegnącej przez pochyłe wrzosowisko stał Joe Kinlet i pilnował szyku. Duże stado cietrzewi rozdzieliło się po pierwszych strzałach.

Phil Ryland otworzył zamek dymiącej strzelby, wyrzucił zużyte łuski i naładował broń. Dwa ptaki spadły na ziemię.

— świetny strzał, Phil — krzyknął wysoki, młody mężczyzna, stojący obok.

Ryland kiwnął głową, na jego przystojnej, opalanej twarzy pojawił się uśmiech.

— Ale jeszcze nie dosyć, co, Paul?

Bruce McKechnie stojący za Paulem Barre-tem nachmurzył się. To, co mówili ci dwaj, było niestety prawdą. Cietrzewi było mało, a myśliwi musieli płacić po 100 funtów za dzień polowania na wrzosowisku. Była to jedna z tych trudnych do wyjaśnienia i przewidzenia sytuacji. W niektóre dni stada przebywały na wielkim wrzosowisku, w inne przenosiły się gdzieś wyżej. Ale wyjaśnianie tego nie miało sensu. Płacili i oczekiwali w zamian dobrego polowania.

Nagonka skończyła się, myśliwi i naganiacze szli do dwóch czekających na nich land roverów. Lord spoglądał w kierunku Rylanda i Barreta. Musiał im zapewnić zadowalające polowanie. W pewnym stopniu byli częścią jego interesu, kierowali bowiem wielką kompanią dostarczającą sprzęt łowiecki. Mogą albo zarekomendować posiadłość Cranlarich swoim klientom albo poradzić im, żeby pojechali gdzie indziej.

Naganiacze i myśliwi zjadali lunch w oddzielnych grupach. McKechnie nalał sobie z flaszki podwójną whisky i ruszył w kierunku strzelców, uśmiechając się z

ufnością.

— Ptaszki jeszcze stygną — wymamrotał.

— Bez wątpienia odnajdziemy główne stado najdalej dziś po południu. Pewnie zerują w *wyższych* partiach.

— Może — odrzekł Paul Barret. — Ale polowałem w tych rejonach wystarczająco długo, żeby wiedzieć, że jeśli cietrzewi jest mało, to po prostu jest mało, czy to na wzgórzach, czy w dolinach. Oglądałem tutejsze wrzosy: Wiosną nie było pożaru albo był niewielki. Przyrosty są żadne. Ptaki przeniosły się tam, gdzie wrzosowiska płonęły i jest mnóstwo młodych, delikatnych pędów do jedzenia. Myślę, że Jack Rouse zaniedbał nieco w tym roku obowiązki. A propos, gdzie on jest?

— Wyrzuciłem go z posady. — Bruce McKechnie nachmurzył się. — I myślę, że przyczyny są oczywiste, sam pan o tym przed chwilą mówił.

— Odbijemy sobie na kaczkach i gęsiach. — Ryland wyszczerzył zęby. — Po to tu przyjechaliśmy. Dużo w tym roku przyleciało ptaków?

McKechnie zawahał się, zanim odpowiedział. Myślał chwilę, przygryzając dolną wargę.

— Nie strzelamy w tym roku na jeziorze — odrzekł. — Postanowiłem, że będzie ono rezerwatem dzikiego ptactwa.

— Nie strzelamy na jeziorze! — Barret wyprostował się, uśmiech znikł z jego twarzy. — Oczywiście, że strzelamy na jeziorze. Zawsze strzelaliśmy.

— Tak, ale teraz nie — policzki lorda płonęły. — Jest pod dostatkiem ptactwa na stawach, wystarczająco dużo, żeby strzelać każdej nocy.

— Ale na stawach nie ma gęsi — warknął Ryland. — A jeśli nie jesteś w stanie zapewnić cietrzewi, musisz dać nam gęsi. Pójdziemy polować na brzegi Loch Merse,

czy ci się to podoba, czy nie. Reklamowałeś w swoim folderze polowanie na kaczki i gęsi, więc nie możesz teraz się z tego wykręcić. W każdym razie, nic w tym sezonie. Paul i ja będziemy na Loch Merse dziś wieczorem.

Bruce McKechnie nie odezwał się. Spojrzał na pozostałych trzech mężczyzn, którzy przybyli na polowanie. Pułkownik w stanie spoczynku, adwokat i starszawy, zamożny biznesmen. Oni, na szczęście, po całym dniu polowania na cietrzewie, nie wykazywali żadnego zainteresowania ptactwem wodnym. Tylko tamci dwaj robili problemy. Ryland i Barret. Przeklinał ich w duchu.

— Jeśli chcieliście dobrego polowania na cietrzewie, powinniście byli przyjechać w sierpniu — warknął.

— Przyjechaliśmy teraz, bo chcieliśmy również strzelać do gęsi. — Ryland podniósł strzelbę i naboje, dając do zrozumienia, że woli zabrać się do popołudniowego polowania niż przedłużać tę niemłą przerwę. — I będziemy strzelać do gęsi.

Po tych słowach strzelcy i naganiacze ruszyli z miejsca, ci ostatni szeptali coś między sobą. Potwierdziło się to, co mówili ludzie w wiosce. Coś dziwnego działo się nad Loch Merse. Do zmierzchu pozostała jeszcze godzina. Słońce zaszło już za Criffel. Nad bagnem wznosiły się pierwsze smugi jesiennej mgły. Kulik śpiewał gdzieś daleko na bagnach. Kaczki krzyżówki i cyranki leciały do swych miejsc żerowania w głębi łądu.

Phil Ryland i Paul Barret przyszli nad brzeg Loch Merse odziani w grube swetry i nieprzemakalne kurtki. Każdy z nich trzymał w ręku strzelbę. Toby — cocker spaniel będący ich wspólną własnością — sapiąc, biegł tuż za nimi. Pies wiedział, czego się od niego oczekuje, słyszał już trzepot skrzydeł i odgłos strzałów. Lubił



płynąć przez lodowatą wodę, szukać między trzcinami zranionego ptaka, a potem triumfalnie wracać na suchy ląd. Zamiłowanie do polowania było przypisane jego gatunkowi. Gdyby nawet na jeziorze była cienka warstwa lodu, przedzierałby się przez nią uparcie, byleby zadowolić swych panów.

— Nie ma co liczyć na zbyt wiele — wymamrotał Ryland. — Jest zbyt spokojnie. Nie ma najmniejszego podmuchu wiatru — ptaki będą za wysoko.

— Zawsze byłeś pesymistą, Phil. — Jego partner uśmiechnął się i naładował strzelbę.

— Spójrz na Toby'ego — ma całkowicie inne zdanie. Dobra, gdzie stajemy? Rozdzielamy się, czy zostajemy razem?

— Staniemy 30 jardów od siebie, powinno być twarde podłoże — odrzekł Phil Ryland ładując strzelbę. — Wezmę Toby'ego na smycz, bo inaczej będzie cały czas biegał między nami.

— Świetnie. — Ruszył do przodu, żeby zająć pozycję. — Powodzenia, Paul.

— Powodzenia.

Pięć minut później, dwaj mężczyźni byli niewidoczni, stali w swych nieprzemakalnych gumowych butach, zanurzeni w bagnistym gruncie otaczającym Loch Merse. Pies skowytał cicho, przycupnięty na wzgórkutworzonym ze zbitej trzciny.

Półmrok przeszedł w głęboką ciemność, mgła zgęstniała i przesuwała się znad bagna, w kierunku jeziora. Kaczki zaczęły nadlatywać z okolic Criffel. Kołowały, krążyły i siadały na środku jeziora. Było tak, jak przewidywał Phil Ryland. Ptaki przelatywały nad myśliwymi za wysoko, poza zasięgiem strzału.

Nagle mężczyźni znieruchomieli. Usłyszeli daleki dźwięk, dziki, przypominający gęganie. Bez wątpienia

było to nawoływanie dzikich gęsi, krzyk szarych ptaków, które pokonały ostatni etap wędrówki z Islandii. Długa podróż podzielona była na etapy: pierwszy kończył się na Hybrydach, drugi na jeziorze Perthshire, trzeci zaś na Solway.

— Na Boga, Phil, słyszysz je? — zawołał pod-  
ekscytowany Barret.

— Oczywiście — odpowiedział Ryland półgłosem, jakby się bał, że ptaki mogłyby go usłyszeć i zmienić kierunek. — Miejmy nadzieję, że przylecą nad jezioro.

Na chwilę wróciła cisza. Potem gęganie znów dało się słyszeć. Stawało się głośniejsze i bliższe, wywołując u słuchających ciarki podniecenia. Na ciemniejącym niebie pojawiły się sylwetki ptaków, szybujących majestatycznie.

— Lecą nad jezioro — wyszeptał ochryple Ryland, instynktownie chwytając strzelbę. — Prosto na nas. Do szeregu!

Klucz jedenastu szarych gęsi zdawał się przez chwilę krążyć nad oczekującymi strzelcami. Po tej chwili chór ptasich głosów został brutalnie przerwany przez huk wystrzałów. Gdyby ktoś obserwował tę scenę, odniósłby wrażenie, że rozgrywa się ona w zwolnionym tempie. Przewodnik stada nagle, wyciągnął głowę, złożył skrzydła i zaczął spadać. Pozostałe gęsi, spłoszone i przerażone, zmieniły kierunek, i wzniosły się w górę. Znów padły dwa strzały, ich błysk oświetlił scenę. Jeden ptak spadł, reszta odleciała.

Toby usłyszał plusk i postawił uszy na sztorc. Obrócił się i chciał pobiec, ale był uwiązany.

— Idź po nią, piesku. — Silne palce rozwiązały śliski węzeł smyczy i pies jednym susem znalazł się w trzcinie. Plusnął, zanurzył się i wydostał, żeby zaczerpnąć powietrza. Szybko brnął naprzód. Potem

zniknął z oczu, wpadając w głęboką, zimną wodę Loch Merse.

— Cholera! — Barret podszedł do Rylanda.

— Szczerze mówiąc, spieprzyliśmy to, Phil. Powinniśmy dostać trzy. Może nawet cztery.

— Obaj strzelaliśmy do przewodnika stada

— odparł Ryland. — Były wyżej niż myśleliśmy. Poza tym jest ciemno. Kiedy strzeliliśmy po raz drugi, wszystkie były poza zasięgiem.

— Na szczęście mamy choć jedną.

— Pod warunkiem, że Toby ją znajdzie.

— Jesteś cholernym pesymistą, kolego. Ptak jest martwy, spadał jak kamień. Słyszałem, jak uderzył w wodę. Stary Toby nie powinien mieć najmniejszego kłopotu.

Ucichli, nasłuchując. Słyszeli jak pies płynie, jak później zanurkował i parsknął triumfalnie.

— Ma ją. Dobry piesek, przyniesie gąskę tutaj!

Dwaj mężczyźni wpatrywali się w ciemność, ale nic nie widzieli. Zapadła już głęboka ciemność, a mgła gęstniała, otaczając ich jak szara, nieprzezroczysta zasłona.

Nagle, z jakiegoś miejsca na jeziorze, rozległ się głośny plusk. Radosne parskanie psa urwało się. Usłyszeli ostry skowyt bólu i strachu. Woda zabulgotała, a później wszystko ucichło.

— Co tam się, u diabła, dzieje? — Phil Ryland postąpił krok naprzód, zapominając przez chwilę, gdzie jest. Woda nalała mu się do kaloszy. — O, cholera! — rzucił.

— Spokojnie! — Barret, który trzymał kompana za płaszcz, ledwo utrzymał się na nogach.

— Toby'emu coś się stało. Hej, Toby! Toby! — Świetnie wyszkolony pies zniknął bez śladu.

— Co się z nim stało, do cholery?

— Skąd mam, u diabła wiedzieć?

— Poświeć na wodę.

Ale snop światła nie był w stanie przebić ściany mgły. Zimne, wilgotne palce strachu zdawały się na nich zaciskać.

— Poczekaj... słyszę coś. — Barret chwycił mocniej strzelbę. Nasłuchiwali. Coś nadchodziło w ich kierunku wąską ścieżką. Słyszać było lekkie pluski i szelest trzcin. Ale żadnego sapania, które zwykle wydawał z siebie pies powracający ze zdobyczą.

— Chodź, Toby. Tutaj piesku. — Barret ledwo rozpoznawał swój własny głos. Zaszło mu w gardle, żołądek miał boleśnie skurczony. Wiedział, że w mroku czai się coś złowrogiego, ale nie chciał się do tego przyznać, nawet przed sobą.

— Chodź tu, Toby, piesku. Pośpiesz się, przynieś wreszcie tę gaskę.

Nagle, trzciniowa wysepka poruszyła się i zaczęła obracać, a stojący na niej mężczyźni prawie stracili równowagę. Ujrzeni jakiś niemożliwy do rozpoznania kształt. Dwoje oczu. Ale nie były to brązowe, duże oczy Toby'ego, lecz drobne, czerwone oczy, lśniące jak oszlifowane diamenty. Zbliżały się. — Klik — klik — klik.

— Jezu Chryste! — zawył Ryland i rzucił się do ucieczki przed nieznanym, strasznym stworem.

Barret nie widział potwora. Zaslaniał mu go przyjaciel. Nagle zderzyli się i wpadli do wody.

Ryland wydostał się pierwszy, kaszląc i plując. Jedyłą jego myślą była ucieczka. Pchnął trzymającego się kurczowo Barreta, czując, że tamten znów zanurza się w mule.

Zrobił dwa kroki i zatrzymał się, niemal spa-

ralizowany przez strach. Światło latarki ukazało straszliwą scenę. Coś takiego nie mogło istnieć. Po prostu nie mogło. Przerazenie Rylanda rosło, osiągnęło szczyt i wtedy nagle męczyzna zaczął się śmiać. Na początku spokojnie, potem chichot zamienił się w głośnie salwy śmiechu. Głowę miał odchyłoną do tyłu, po jego wymazanej błotem twarzy spływały łzy.

— Ty pierdolony idioto! — Barret wygramolił się w końcu i stanął na twardym gruncie. — Rzeczywiście, to cholernie śmieszne wypychać mnie pod... O, Jezu Chryste!

Leżeli razem w błocie, nie mogąc się podnieść.

— Ależ one są śliczne. Milutkie, małe krabiki — pieski. chodźcie do nas. Pomożecie nam. Hej, gdzie my jesteśmy?

— To musi być piekło, chłopie. Ale nie jest wcale tak gorąco, jak nam zawsze mówili. Szczerze mówiąc, jest kurewsko zimno.

Pochylili się obaj, śmiejąc się do łez.

Olbrzymie kraby ruszyły do przodu powoli, wiedząc, że ofiary im nie uciekną. Największy, wysoki na jakieś pięć stóp, był okrwawiony, do jego szczypiec przyłgnał kosmyk psiej sierści.

Barret poczuł, że szczypce zamykają się na jego nogach, tuż pod kolanami. Ból był straszliwy, myśliwy zawył głośno. Amputowana kończyna u- grzęzła w błocie. Mimo to, Barret przeszedł jeszcze prawie osiemnaście stóp po moczarach, odciskając w gęstym błocie krwawe ślady. W jakiś sposób poruszał się wyprostowany, pomagając sobie rękami. Nagle ktoś chwycił go za nadgarstek. Wiedział, że jest bezpieczny, że nie upadnie. Ale gdzie jest Phil? Nigdzie nie mógł go dostrzec.

Phil Ryland leżał pod wodą, a zostawiona nie opodał

latarka oświetlała makabryczną scenę. Twarz miał zwróconą ku Barretowi, wpatrywał się weń znieruchomiałymi, szklanymi oczyma. Barret nie miał żadnych szans. Otaczały go przerażające stwory. Dało się słyszeć stłumione klekotanie.

Ryland był martwy, ale Barret wciąż żył. Nie czuł już bólu. Bez nóg, bez rąk, ludzki kadłub huśtał się na wodzie, a krew wciąż zeń wypływała, barwiąc błoto na czerwono. Szczypce cięły.

Potwór bawił się z nim jak kot ze złapaną myszą. Każde uderzenie było dokładnie wymierzone. Wypatroszony jak królik, myśliwy uniósł głowę, oczekując końca.

Nocne łowy były zakończone. Teraz dla skorupiaków nadszedł czas posiłku.

Daleko, na wodach Loch Merse, brzuchem do góry unosiła się szara dzika gęś. Ona również straciła życie podczas nocnych łowów. Ale jej koniec różnił się od śmierci dwóch myśliwych. Została zabita szybko i bezboleśnie.

## **Rozdział czwarty**

Przy stole, w jadalni hotelu Cranlarich pozostały dwa wolne miejsca. Trzej goście jedli bez apetytu. Spoglądali od czasu do czasu na puste miejsca, to znów na siebie, zadając pytania, na które nikt nie mógł udzielić odpowiedzi. Gdzie byli dwaj młodzi mężczyźni, Ryland i

Barret? Wszyscy wiedzieli, że poszli polować na brzegach Loch Merse, wbrew życzeniom lorda.

Trzej mężczyźni patrzyli na Bruce'a McKechnie, który pogrążony w myślach, popijał wino. Stał przed nim talerz z prawie nietkniętym, pieczonym bażantem. Służący i kelner trzymali się z dala. Stali niemal bez ruchu w tyle wielkiego pokoju, ozdobionego gobelinami przedstawiającymi sceny myśliwskie. Wyglądały dziwnie i makabrycznie w świetle rzucanym przez dwa kandelabry ze szkła. Nikt nie rozmawiał, bo nikt nie odczuwał takiej potrzeby. Pułkownik Sanders gładził w zamyśleniu swoje białe, krótko przycięte wąsy. Cholerni młodzi głupcy, zepsuli mu takie miłe polowanie. Zastanawiał się, cóż, u diabła, robią poza domem o tej porze, dwie godziny po zmroku? Istniała, co prawda, możliwość, że zostali nad jeziorem, żeby strzelać do kaczek w świetle księżyca. Była przecież prawie pełnia.

Bagna Solway wspaniale nadawały się do tego, żeby siedzieć tam i strzelać przez całą noc. westchnął głośno.

— Ci cholerni głupcy strasznie się spóźniają, McKechnie powiedział pułkownik Sanders. — Moim zdaniem, to bardzo nierozważne z ich strony, a co wy, moi drodzy przyjaciele, o tym sądzicie?

Odpowiedział mu chór niemrawych pochrząkiwań.

— Nierozważne? — warknął McKechnie. Czuł zmieszanie swych gości, chęć przypodobania się mu i w głębi serca delektował się tym. — Rzekłbym raczej, że to po prostu brak dobrego wychowania. Cóż, jeśli chodzi o mnie, to mogą sobie siedzieć tam tak długo, jak chcą.

— Ale... hm... myślę... — Pułkownik Sanders nerwowo obracał w palcach widelec. — Są już spóźnieni parę godzin. Jeśli nie wrócą przed północą... no... ktoś chyba pójdzie ich szukać, prawda?

— Tak jak powiedziałem. — Lord uśmiechnął się, ale na jego twarzy nie było nawet śladu wesołości. — Mogą tam zostać, jeśli chcą.

Znów zapadła nieprzyjemna cisza. Trzej mężczyźni chcieli jak najszybciej skończyć drugie danie. Zrezygnowano ze słodczy na rzecz kawy i likierów. Stołownicy poprosili o brandy. Tego właśnie potrzebowali.

Bruce McKechnie wstał od stołu z kieliszkiem likieru w dłoni. W każdym jego ruchu widoczne było zmęczenie. Rysy twarzy miał ściągnięte, w oczach lśniła determinacja. Nie chciał wychodzić teraz z domu. Ale w wiosce Cranlarich czekała na niego dziewczyna. Wiedział, że będzie już leżała na łóżku, i nie puści go, dopóki nie zrobi tego kilka razy — jej apetyt seksualny był nienasycony. Lorda bardzo te wizyty satysfakcjonowały i zazwyczaj z niecierpliwością ich wyczekiwał. Ale nie dziś. Nie miał już wątpliwości, kraby dostały Rylanda i Barreta. Będzie musiał wyjaśnić jakoś ich zniknięcie i chyba nie będzie to takie łatwe, jak w przypadku Rouse'a.

— Życzę panom dobrej nocy. — Uniósł kieliszek do ust, ale nic nie wypił. — Mam nadzieję, że jutro będzie lepiej. Myślę, że zmienimy nieco plany i wybierzemy się na poszukiwanie kryjówek bażantów.



Gwarantuję panom świetną zabawę.

McKechnie zamknął za sobą drzwi jadalni i stanął na wysłanej dywanami posadzce hallu. To co się działo, było jak zły sen. Był zlany potem. Z wielkim wysiłkiem zebrał się w garść, przywołując wszystkie swe ukryte siły fizyczne i psychiczne. Pomyślał, że może to i lepiej, że kraby zabiły tych wścibskich facetów, w każdym razie nie będą rozsiewać plotek. Skorupiaki wykonywały swoją robotę dokładnie, nie pozostawiając żadnych śladów rzezi. A spaniel? uśmiechnął się kwaśno. Było to bez znaczenia, pies i tak nie mógłby zdradzić tajemnicy Lochi Merse.

Szedł w kierunku schodów. Miał nadzieję, że Christine Blacklaw choć na parę godzin zdejmie z jego ramion ciężar trosk i lęku. Jutro pytania zostaną postawione, ale odpowiedzi na nie nie będzie. Bał się okrutnej prawdy, ukrytej w głębinach jeziora. Była tak niesamowita, że nikt by w to nie zdołał uwierzyć.

Mgła znów zaczynała gęstnieć, pochłaniając i tak już słabe promienie słońca. ochłodziło się. Zimne i przesycone wilgocią powietrze przepowiadało wczesną zimę. Mężczyźni stojący na brzegach Lochi Merse podnieśli kołnierze płaszczy i niecierpliwie przystępowali z nogi na nogę.

Nadinspektor Broomhall z Dumfries uparcie wpatrywał się w wody jeziora, ale jego ziemista twarz nie wyrażała żadnych uczuć. Inspektor śledczy Page zapalił papierosa, zaciągnął się i zakaszał. Jego twarz

zginęła w obłokach dymu. Spojrzał ukradkiem na zwierzchnika, potem na Bruce'a McKechnie. Wszyscy byli podenerwowani. Umundurowani policjanci powoli przeszukiwali grunt w pewnej odległości od nich. Tak było zawsze, gdy prowadzono poszukiwanie ciał.

— Myślę, że wykazał się pan wyjątkową opieszałością, zawiadamiając o zaginięciu dwóch ludzi dopiero po 24 godzinach, panie McKechnie — powiedział cicho Broomhall.

— Nie miałem podstaw, aby przypuszczać, że coś im się stało — odrzekł lord. W kąciку ust miał wielkie cygaro, którego nie wyjął, odpowiadając na pytanie — ten gest lekceważenia nie uszedł uwagi policjanta. — Byli uparci, to faceci, którzy mogą przez całą noc strzelać w świetle księżyca, a rano iść prosto na bagna, na cietrzewie. Mówiłem, żeby się trzymali z dala od jeziora, ale zignorowali mnie.

— Dlaczego zabronił im pan strzelać na jeziorze?

— Ponieważ chcemy założyć tu rezerwat dzikiego ptactwa. Setki ptaków zostają tutaj na zimę. A na stawach mamy wystarczająco dużo zwierzyny, żeby zaspokoić potrzeby naszych klientów.

— Rozumiem. — Broomhall nie odezwał się więcej. Czuł ogromną niechęć do tego wyniosłego mężczyzny, który w ogóle nie przejmował się losem zaginionych.

W wodzie, niecałe dziesięć jardów od brzegu, coś się poruszyło. Lord zastygł na chwilę, ale rozluźnił

się, ujrawszy sylwetkę mężczyzny w czarnym kombinezonie płetwonurka, który wynurzył się przy skrawku trzciny, ciągnąc za sobą gęsty szlam. Nurek trzymał coś w dłoni.

— Ma coś — rzekł Broomhall. Instynktownie postąpił naprzód, mimo że nurek już się do nich zbliżał, brnąc przez płytką wodę. McKechnie od razu rozpoznał przedmiot i odetchnął z ulgą. To była strzelba. Nawet kraby nie pożarłyby tego żelastwa.

Płetwonurek zdjął maskę i uniósł broń wysoko do góry. Był spocony pomimo zimna.

— Gorszej sadzawki jeszcze nie macałem, szefie. — Uśmiechnął się blade.

— To jest jezioro — przerwał mu McKechnie z irytacją w głosie. — Morskie jezioro.

— Może sobie być i Genewskie — odparł tamten. — Pod wodą zupełnie nic nie widać.

— Gdzie była? — przerwał Broomhall, oglądając broń wprawnym okiem.

— W trzcinach. Muł jest tak gęsty, że nie zatoneła, stała pionowo, zanurzona do połowy. Tak jakby ktoś się nią podpierał, a potem ją zostawił.

— Inne ślady?

— Nie ma.

— Powinny być dwie strzelby.

— Niech pan mnie posłucha, szefie, nie jestem w pańskiej cholernej policji. Mam strój płetwonurka, bo to jest moje hobby i zgodziłem się panu pomóc. Zrobiłem co mogłem. A jeśli nie

jest pan zadowolony, niech pan weźmie to cholerne ubranko i sam spróbuje. Bo ja nie zamierzam taplać się w tym błocie.

— W porządku, chłopie, w porządku — uspokoił go Broomhall. — Zgadzam się, że zrobił pan wszystko. Policyjny pletwonurek przeprowadzi gruntowne poszukiwanie jutro rano. Po prostu było tu dwóch facetów i obaj mieli strzelby. McKechnie, jakie mamy jutro szanse na odkrycie ciała?

— Pan żartuje, nadinspektorze. — Lord zaśmiał się nieszczerze. — Nie mam pojęcia. Kiedyś utonął w jeziorze człowiek. Ciało wypłynęło dopiero po paru dniach. Niektórzy mówią, że jezioro jest bez dna i nie zamierzam tego zdania obalać. A poza tym, czy nie jesteśmy aby zbyt pewni siebie? To, że znaleźliśmy strzelbę nie znaczy wcale, że Ryland i Barret utonęli. Może to pomyłka? Nie byłiby pierwszymi, którzy próbowali nabrać wszystkich, że zginęli. A w każdym razie, pies nie utonąłby razem z nimi, jest to wysoce nieprawdopodobne.

Nadinspektor Broomhall nie odpowiedział. Mimo że nie lubił właściciela Cranlarich, musiał przyznać, że lord ma rację. Rzeczywiście, co się stało z psem?

Do towarzystwa przyłączyli się oficerowie z psem policyjnym. Prowadzący, tęgi sierżant pociągnął nosem, jak zawsze, ilekroć coś mu się nie udało. Kompletnie nic, sir — zameldował Broomhallowi.

— Cóż, musimy odłożyć poszukiwania do jutra. — Nadinspektor uśmiechnął się z żalem. — Mgła szybko gęstnieje. W tym czasie możemy zadać parę pytań ludziom w wiosce. Może ktoś ich

widział.

— Wątpię. — McKechnie odwrócił się. — Proszę posłuchać mojej rady, inspektorze. Jeśli chce pan coś znaleźć, proszę sobie nie zawracać głowy zadawaniem pytań mieszkańcom Cranlarich. Nawet jeśli coś wiedzą, nie powiedzą panu... z zasady.

Broomhall chrząknął. — Będę musiał, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, przesłuchać pana jutro, panie McKechnie — rzucił. — Byłbym też zobowiązany, gdyby...

— Proszę się nie martwić — zawołał przez ramię lord. — Nigdzie się stąd nie ruszę.

Od rana McKechnie pracował. Nagle otworzyły się drzwi jego gabinetu.

— Znaleźliśmy drugą strzelbę, panie McKechnie.

Lord podniósł wzrok znad biurka i skrzywił się. Do diabła z tym facetem. Nie ma nawet na tyle dobrych manier, żeby zapukać. Miał już zwrócić mu uwagę, ale w ostatniej chwili powstrzymał się. Chciał, żeby ci policjanci opuścili Cranlarich jak najszybciej i wiedział, że nie osiągnie tego przez utrudnianie im pracy i obrażanie ich. Zmusił się do uśmiechu.

— Muszę przyznać, że świetnego macie nurka, inspektorze — rzekł. — Szybko mu poszło. Wnoszę, że znalazł broń w jeziorze?

— Tak, prawie w tym samym miejscu. Ale... ale ugrzęzła w mule, tak jakby nacisnęło ją coś bardzo ciężkiego. Łożysko jest pęknięte, lufy wygięte i porysowane. Jak pan myśli, co mogło się z nią stać? Bo wygląda to tak, jakby stratował ją słoń.

— Hm, naprawdę nie mogę nic powiedzieć. Nawet niezbyt mocne uderzenie w skałę może spowodować wygięcie, a przy upadku może pęknąć zamek.

— Nie aż tak, panie McKechnie. A zresztą, nie

ma sensu zgadywać. Nasi eksperci nie będą mieli problemu ze stwierdzeniem przyczyny uszkodzeń.

Wątpię — szepnął McKechnie do siebie i uśmiechnął się. Całe szczęście, że płetwonurek nie widział żadnego kraba.

— Cóż, nie ma żadnych dowodów, że ci dwaj mężczyźni utonęli.

Broomhall usiadł na krześle, mimo że nie został poproszony. Lord ponownie musiał opanować rosnący gniew.

— A zatem?

— Być może jest tak, jak pan mówił wczoraj. Mogą udawać utonięcie.

— Prawdopodobnie pojawią się w Australii  
— powiedział Bruce McKechnie, nie bez zażdrości.

— Albo wcale. W każdym razie opuścimy pana na jakiś czas. Nikt we wsi nie przypomina sobie, żeby ktokolwiek ich widział. Tymczasem zostaną wpisani w poczet zaginionych i odnotowani we wszystkich jednostkach policji. Być może jednak będziemy musieli tutaj wrócić, jeśli pojawią się jakieś ślady.

Lord wiedział, że policjant skorzysta z każdej okazji, żeby wrócić i przeszukać okolicę.

McKechnie stał, patrząc przez duże okno na jezioro. Mgła podniosła się. Policja wyjechała, ale kraby wciąż tu były. Czekały. Musiał przyznać, że to perfekcyjni mordercy. Doskonale zacierały ślady.

Rozmyślania przerwał mu młody człowiek, który wszedł do gabinetu.

— Co się stało z moim bratem i z Paulem Barretem! — zapytał.

Lord przyglądał mu się uważnie przez chwilę. Był szalenie podobny do zaginionego Phila.

Młodszy może o trzy lub cztery lata, ale równie uparty.

— Mój drogi chłopcze, jeśli chcesz wiedzieć wszystko, to proponuję ci skontaktować się z policją w Dumfries — rzucił Bruce McKechnie. — Bardzo chciałbym ci pomóc, ale...

— Niech się pan nie kłopotuje — warknął John Ryland opierając się o biurko. — Rozmawiałem już z nadinspektorem Broomhallem. Wiem, że strzelby znaleziono w jeziorze. Ale obaj mężczyźni byli dobrymi pływakami, nie mieli powodów, żeby popełnić samobójstwo. Zresztą, co mogło stać się ze spanielem.

— Sądzę, że wzięli go ze sobą — Bruce McKechnie powiedział to ostrzej, niż chciał.

Ryland wyrzucił ramię do przodu, schwycił lorda za kołnierz i uniósł go.

— Ty kutasie! — Ryland podniósł groźnie drugą rękę ze ściśniętą pięścią. — Powinienem rozwalić ci tę pieprzoną głowę!

Powoli wypuścił McKechniego, który z trudem chwytając powietrze opadł na krzesło.

— Nie powinien pan być tego robić, panie Ryland.

— Zrobię to raz jeszcze, jeśli będzie trzeba i wtedy skończysz w szpitalu albo jeszcze gorzej.

— Uważaj, takie groźby mogą ci tylko przysporzyć kłopotów. Teraz wynos się z mojej ziemi.

— Nie wyniosę się. Przyjechałem tu z Londynu, żeby znaleźć mojego brata i Paula Barreta. Zniknęli na terenie Cranlarich i tu właśnie będę ich szukał, z pańskim pozwoleniem lub bez niego.

— Policja już przeszukała Loch Merse. Znaleźli strzelby. I nic więcej.

— Wiem o tym. Jedna ze strzelb, była mocno uszkodzona. To nie mógł być zwykły wypadek.

Czy ma pan jakąś teorię na ten temat, panie McKechnie?

— Żadnej.

John Ryland zamilkł. Uzmysłował sobie, że będzie musiał tu jeszcze długo pozostać. Musiał więc zmienić taktykę.

— Przepraszam panie McKechnie. Nie miałem prawa tak z panem postąpić. To tak, jakbym... cóż, jestem bardzo zdenerwowany. Żona brata niemal oszalała. On ma dwoje małych dzieci. Nie należy do ludzi, którzy robią jakieś głupoty. Czy pan mi pomoże?

— Doprawdy, nie wiem, w jaki sposób...

— Proszę pozwolić mi przebywać i poruszać się po Cranlarich.

— Powiedziałem już panu, że tu nie ma nic do odkrycia. Policja przeprowadziła dokładne poszukiwania. Pańskiego brata nie ma w mojej posiadłości, a jeśli jednak jego ciało jest w jeziorze, Loch Merse zwróci je w swoim czasie.

— Więc chciałbym zostać i zobaczyć to. Na kilka dni. Kto wie, może coś znajdę.

McKechnie wyprostował kołnierz, wyciągnął cygaro ze skórzanej cygarnicy i zapalił.

— To nie będzie możliwe — odpowiedział w końcu. — Nie ma miejsca na nocleg. Wszystkie miejsca w hotelu są zarezerwowane.

— Były — poprawił go Ryland. — Wiem, że trzech gości, którzy tu byli na polowaniu, spakowali się i pojechali do domu. Zapłacę pełną cenę i nie chcę żadnego polowania.

— Powiedziałem, że to niemożliwe. Nie ma wolnych miejsc.

— W porządku, jak pan chce. — John Ryland wstał powoli. — Zatrzymam się w hotelu, w



wiosce. Ale chcę dokładnie obejrzeć pańskie jezioro.

— Wkroczy pan na teren prywatny i moi strażnicy zgodnie z prawem usuną pana z posiadłości.

— Może spróbuję. — Ryland podszedł do drzwi, pchnął je i obrócił się raz jeszcze twarzą do lorda. — Myślę, że wie pan dużo więcej o tej sprawie, niż pan mówi, McKechnie. Próbuje pan coś ukryć i właśnie dlatego zrobię, co w mojej mocy, żeby wyszło to na światło dzienne.

Drzwi zatrzasnęły się z hukiem i rozeźlony młody człowiek zniknął.

Bruce'owi McKechnie drżały ręce, gdy nalewał sobie brandy. Wypił ją jednym haustem i po raz drugi napenił kieliszek. Do diabła z tym, nie bał się nikogo. Ale pomimo to czuł, że John Ryland przysporzy mu mnóstwo kłopotów.

McKechnie nie miał ochoty na seks. Jego głowa zaprzątnięta była zupełnie czymś innym. Nie zaglądał do Royal Stag już od trzech dni i Christine zaczynała się niecierpliwic. Zadzwoiła do niego wczesnym popołudniem i wiedział, że to rozkaz, że musi ją odwiedzić. Zresztą potrzebował jej.

Robiła wszystko, żeby go pobudzić, ale jej wysiłki szły na marne. Dotyk szczupłych kobiecych palców nie robił na nim żadnego wrażenia. Zwinęła się więc w kłębek na jego brzuchu i zaczęła pieścić go ustami. Próbował rozpaczliwie poddać się jej dotykowi, odepchnąć od siebie wszystkie myśli o krabach i Rylandzie, myśleć tylko o tej dziewczynie i o tym, co chciała mu dać. Ale nic z tego nie wychodziło.

Uniosła głowę i patrzyła na niego ciemnymi oczyma. Nie było w nich gniewu, tylko rozczaro-

wanie i ciekawość.

— Co z tobą, Bruce? — wyszeptała, podciągając się do góry tak, że jej twarz była blisko jego twarzy. — Nigdy taki nie byłeś. To wszystko przez jezioro, tych dwóch zaginionych facetów i ciągle nachodzenie przez policję, prawda? Ale to nie twoja wina. Przecież nikt cię nie oskarża o to, że ich utopiłeś.

Czy ten facet, Ryland, zatrzymał się tutaj? — zapytał, próbując zachować obojętność w głosie i pieszcząc palcami jej sterczące sutki.

— Tak, zatrzymał się. Dlaczego pytasz?

— Jestem po prostu ciekawy. Jest bratem jednego z zaginionych, prowadzi własne poszukiwania.

— No i co z tego?

— Nie chcę, żeby wtykał nos w nie swoje sprawy.

— Przecież nie masz się czego bać. Nie próbujesz niczego ukrywać. A może tak, co, Bruce? Ludzie mówią o Loch Merse tyle różnych śmiesznych rzeczy. Ale tam się nic nie dzieje, prawda?

— Oczywiście, że nie.

— Więc nie musisz się przejmować Johnem Rylandem, no nie?

— Więc znasz nawet jego imię?

— Zazdrosny?

— Ten bękart jest brutalny i nieokrzesany. Groził mi. Jeśli myśli, że jego chamstwo mnie wystraszy...

— Wygląda na faceta, który mógłby być bardzo dobry w łóżku. — Jej oczy szydziły z niego, niezaspokojone emocje wzięły górę.

Nagle coś się złamało w lordzie McKechnie. Tłąca się w nim nienawiść do Johna Rylanda dosięgła szczytu i przestał kontrolować swe poczynania. odchylił do tyłu prawą rękę i uderzył siedzącą na nim okrakiem dziewczynę. Uderzenie miało siłę kopnięcia, rzuciło ją do tyłu tak, że leżała jak długa przy jego stopach, z rozłożonymi udami, jeszcze ciepła i wilgotna od niedawnego pożądania. Uniosła rękę do ust. Krwawiły.

— O Boże! — zawyła. — Ty draniu! I pomysłęć, że chciałam ciebie poślubić.

— Nie mogłaś. — Uśmiechnął się szyderczo i zsunął nogi na podłogę, sięgając jednocześnie po koszulę. — Masz nieco wybujałą wyobraźnię, dziecko. Wieśniacy mieli rację. Jesteś moją kochanką. Moją dziwką. I niczym więcej.

— Dziwką, ale nie dla ciebie — zaatakowała.

— Nawet ci nie staje. Cranlarich będzie pokładało się ze śmiechu, jak tylko szepnę słówko. Kutas potężnego lorda zwisa bezradnie jak mały i zdechły kawał wodorosta, i to nawet, gdy jest w łóżku z dziewczyną młodszą od niego o 20 lat! A kiedy wraca do swojego wspaniałego domu, ona musi zrobić to sobie sama. O, mój Boże, jak oni będą się śmiać, McKechnie!

Widziała, jak trzęsie nim gniew, gdy się ubierał.

— Nawet nie masz pojęcia, jak się cieszę, że się ciebie pozbyłam — wrzasnęła za nim, gdy otworzył drzwi i zaczął schodzić po schodach. — Coś się dzieje na Loch Merse, a ja nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Tylko nie płaszcz się przede mną, jak zrobi się gorąco i będziesz szukał kryjówki.

Wypadł na drogę, wsiadł do stojącego range rovera i zapalił motor. - Pieprzyć głupią sukę, pieprzyć Rylanda, pieprzyć cholerne kraby! — klął. Pragnął zemścić się na nich wszystkich. Niech sobie nie myślą, że wysadzą go z siodła. Zapłacą za to, a wtedy życie Cranlarich wróci do normalnego biegu. Wierzył, że jego imperium powstanie jak Feniks z popiołów.

## Rozdział piąty

Myśl o lordzie nie dawała jej spokoju. Dopiero teraz Christine zdała sobie sprawę z konsekwencji, jakie pociągał za sobą ich związek.

John Ryland siedział przy niej na łóżku. Oboje byli ubrani.

Pocałował ją i przytulił się całym ciałem, tak jakby naprawdę jej potrzebował.

Ona zaś chciałaby rozpocząć nowe życie. Nie odepchnęła go.

— Wokół Loch Merse dzieje się coś dziwnego — rzekł Ryland, odsuwając się od niej i patrząc w podłogę. Na jego twarzy malowało się zmartwienie.

— Chyba masz rację.

— Proponuję wyłożyć karty na stół. Chciałbym, żebyśmy byli wobec siebie szczerzy.

— Proszę bardzo. Mam jednak nadzieję, że nie wrócisz do Londynu zbyt szybko.

— Bardzo w to wątpię.

— Jesteś żonaty?

— W separacji. Sprawa rozwodowa nie jest jeszcze zakończona. Dwa lata szczęścia, sześć miesięcy piekła, a teraz koniec.

— Przykro mi — rzekła, choć tak naprawdę była

zadowolona. Wiedziała, że John mówi prawdę. Należał do tego rodzaju mężczyzn. Był szczerzy i bardzo sexy.

— Spójrz na mnie. Teraz ty powiedz mi, co wiesz.

— Obawiam się, że nie jest tego dużo — uśmiechnęła się przeprasząco. — Słyszę mnóstwo plotek wieczorami, gdy pracuję w barze. Powinieneś porozmawiać z Freddie Lawem.

— Kto to jest?

— Miejscowy kłusownik. Zna każdy kąt majątku Cranlarich lepiej niż sam lord. Freddie Law utrzymuje, że kilka tygodni temu przeżył coś koszmarnego. Mówi, że w dużym potoku, który spływa do jeziora, spotkał coś, co wyglądało jak olbrzymi krab.

— Ależ to bez sensu!

— Też tak sędzę. Wieśniacy boją się Loch Merse. Czują zabobonny lęk nawet w biały dzień, a już na pewno nikt nie poszedłby nad jezioro w nocy. Spytaj ich, to ci powiedzą. Nie mówią nic konkretnego, ale potwornie się boją. Przede wszystkim McKechniego. To kawał świni.

Opowiedział jej o swoim spotkaniu z lordem.

— zabije, że mnie tam nie było — rzekła z jadem w głosie. — Ten drań uderzył mnie. Myślałam, że ożeni się ze mną, ale on wcale nie miał takiego zamiaru. Cóż, teraz nie wyszłabym za niego, nawet gdyby mi dawał swoje miliony. To zły

człowiek.

— Gdzie znajdę tego Freddiego Lawa? —  
spytał.

— Mieszka w starej chacie po lewej stronie, na  
końcu drogi. Ale jest już prawie północ.

— Z tego, co mi mówiłaś, wynika, że nie  
chodzi spać z kurami. Jeżeli nie poszedł kłusować,  
będzie tam.

— Wątpię, żeby poszedł do lasu. Dostał w  
skórę od leśniczych. Nie wydobrał jeszcze zupeł-  
nie. Ale czy nie mógłbyś iść tam rano?

— Nie położę się, dopóki z nim nie porozma-  
wiam — odrzekł. — Mój brat zginął. Może być w  
śmiertelnym niebezpieczeństwie... albo martwy.  
Muszę go znaleźć jak najszybciej.

— Powodzenia. — Uśmiechnęła się. — Ale  
uważaj na siebie, John. Bardzo mi na tym zależy.

— Wróć. — Skinął głową i otworzył drzwi.  
— Obiecuję.

Dopiero po pięciu minutach głośnego pukania  
Ryland usłyszał ruch wewnątrz zaniedbanej chaty.  
Pod drzwiami pojawiła się smuga światła, w  
korytarzu zaszurały kroki.

— Kto tam?

— Nazywam się Ryland. Przysłała mnie,  
Christine Blacklaw. Przepraszam, że panu prze-  
szkadzam, ale to pilne.

Drzwi uchyliły się po woli i Ryland zobaczył

starego człowieka. Jego wynędzniała twarz wciąż jeszcze nosiła ślady od uderzeń. Spoglądał ukradkiem. Bał się.

— Czego pan chce o tej porze, chłopcze?

— Muszę z panem pomówić. To pilne.

Drzwi otworzyły się trochę szerzej. Ryland ujrzał zgarbioną postać, zasuszone, wykrzywione, ostre rysy twarzy. Jedno oko, szeroko otwarte, wpatrywało się w przybysza, drugie było prawie zamknięte.

— Niech pan wejdzie. — Puścił drzwi.

Ryland wszedł do środka zatykając nos z powodu ostrego zapachu, jaki panował wewnątrz. Wąski korytarz prowadził prosto do pokoju, który był składowiskiem siatek na króliki, sprzętu kłusowniczego, nie mytych naczyń i brudnych ubrań.

— A teraz, chłopcze, mów w czym rzecz?

— Chcę pana prosić o pomoc. — John Ryland usiadł na wolnym krześle. Musiał rozwiać obawy starego i w żadnym razie go nie popędzać.

— Słyszał pan o moim bracie, jednym z tych, którzy zginęli nad Loch Merse?

— A, tak. To pana brat? Ciężka sprawa. Bardzo ciężka.

— Chcę go znaleźć.

Freddie Law zmieszany spuścił wzrok. Kiedy spojrzął na Johna Rylanda, znów stał się nerwowy, a jego oczy poruszały się niespokojnie.

— Ale ja nie mogę panu pomóc, panie... panie



Ryland — wymamrotał kłusownik.

— Myślę, że może pan. — Młody człowiek wysunął się naprzód, patrząc tamtemu w oczy. — Christine mówi, że może pan. Mówi, że wie pan coś o tym, co się dzieje w Cranlarich

— Ja nic nie wiem. Zupełnie nic.

— Nic? A co z tym wielkim krabem, który był w potoku?

Law znieruchomiał i z trudem przełknął ślinę.

— Nie mogę być tego pewny. Wie pan, było ciemno. To mogło być coś innego.

— Nie sądzę. Nie dlatego, żebym wierzył w jakieś potwory, ale tam po prostu dzieje się coś niezwykłego, nieprawdaż, panie Law?

— Tak, tam jest coś dziwnego, ale ja nie chcę się tym zajmować. Nie pójdę więcej do lasów Cranlarich.

— Bzdura! — Ryland roześmiał się. — Kłusownictwo ma pan już we krwi, człowieku. Nie może pan tego po prostu rzucić, a gdzie tu pan pójdzie kłusować, jeśli nie w góry albo dalej w głąb łądu?

— Cóż, może w przyszłym roku... Ale teraz mam tego dosyć.

— Chcę, żeby pan poszedł ze mną, Freddie. Do lasu, jutro w nocy, kiedy księżyc będzie w pełni. Tylko czekać i obserwować, zobaczyć, co się dzieje... jeśli w ogóle coś się dzieje.

— Nie! — Stary człowiek zacisnął usta i potrząsnął głową. Przypominał Rylandowi marionetkę. Żyłasta szyja zdawała się ledwo podtrzymywać ciężar

czaszki. — Nie, nawet za wszystkie pstrągi i lososie, które przyplływają tutaj z morza.

— Ale może za pięćdziesiąt funtów? W banknotach pięcioletnich. Połowę, zanim wyjdziemy i połowę po powrocie. Łatwy pieniądz. Może w ogóle nic nie zobaczymy.

Freddie Law milczał. Znow spozjrzał na podłogę — widocznie zaczął się wahać. Rozpamiętywał tę noc i przerażającą ucieczkę przed niebezpieczeństwem. Później pomyślał o pieniądzech. Oprócz kłusownictwa nie miał żadnych dochodów.

— To kusząca oferta, panie Ryland — powiedział wolno i uważnie. — Może, ale tylko raz. I tylko nad jezioro. Nie zabiorę pana do dużego potoku, nawet za pięćdziesiąt funtów szterlingów.

— W porządku. — Ryland odetchnął z ulgą. — Interes ubity. Jutro w nocy przyjdę po pana koło jedenastej. Chciałbym mieć dogodne miejsce do obserwacji w tej części jeziora, gdzie zniknął mój brat i jego przyjaciel. Musimy znaleźć miejsca, w których można by się ukryć na dwie lub trzy godziny.

— Tam jest mnóstwo kryjówek — odrzekł Law. — Ale zrobię to tylko raz. Niech mnie pan potem już nie prosi. Nawet za sto funtów szterlingów.

— Tylko raz — obiecał John Ryland i szybko wstał, na wypadek, gdyby stary chciał zmienić decyzję. — A więc, do zobaczenia jutro, koło jedenastej w nocy. Przyniosę flaszkę, żebyśmy nie zmarzli.

Freddie Law uśmiechnął się. To była dodatkowa zachęta.

Następnej nocy mgła otuliła jezioro. John Ryland opuścił Royal Stag i zdążył w dół opustoszałą wiejską drogą. Co chwilę spoglądał w niebo — księżyc ukazał się już nad Criffel i w miarę jak wspinał się po niebie, zmieniał kolor z pomarańczowego na srebrny, coraz bardziej malejąc. Tylko ta cholerna mgła. Nie opadła jeszcze, odkąd przyjechał do Cranlarich. Widoczność spadła już do dwudziestu jardów, a będzie jeszcze mniejsza w dole, nad wodą.

Freddie Law był już gotów i czekał na Johna Rylanda przed drzwiami swego domostwa. Kłusownik założył miękki kapelusz i krótkie kalosze.

— Buty mi przeciekają, więc nie możemy wchodzić w głęboką wodę — wymamrotał, zastrzegając się tym samym, że absolutnie nie da się namówić na wyprawę do dużego potoku.

Po długim marszu dotarli do ogrodzenia z drutu kolczastego. Law pokonał je z zaskakującą zręcznością. Ryland, przechodząc nad najwyższym pasmem drutu podarł sobie spodnie i zaklął cicho.

Szli teraz w zupełnej ciemności, pas świerków zasłaniał całkowicie światło księżyca. Ryland bardziej czuł, niż słyszał ruchy towarzysza i ślepo za nim podążał. Stary człowiek nie potrzebował światła, aby znaleźć właściwą drogę. Kroczył utar-

tymi ścieżkami. Znał ten teren na pamięć. Nadal się nie odzywali, niskie gałęzie smagały ich po twarzach, dopóki po kilku minutach nie wyszli na otwartą przestrzeń — rozległą, pochyłą łąkę. Mgła wisiała w kotlinach, tworząc gęstą zasłonę.

— Jezioro jest około dwustu jardów przed nami — wyszeptał Law.

— Idźmy — odrzekł Ryland i nie wiedząc czemu, zadrzał gwałtownie.

Było coś niesamowitego w tym otoczeniu, którego piękno podkreślała księżycowa noc. Panowała kompletna cisza. Nie było słyhać ani jednego nocnego ptaka, tak jakby wszystkie żywe stworzenia opuściły to miejsce. Nastrój grozy panował nad rozległym terenem, jak gdyby cała przyroda przeczuwała, niesamowite wydarzenia. Złowroga aura wkradała się w krajobraz. Nadciągała wraz z gęstą mgłą.

Freddie Law zatrzymał się tak gwałtownie, że Ryland wpadł na niego. Kłusownik ujrzał brzeg jeziora, około dziesięć jardów przed nimi. W świetle księżycy załśniły śliskie skały.

— No, jesteście na miejscu — wymamrotał Law.  
— Ale mgła wszystko zasłania i robi się coraz gęstsza. Nie ma sensu zostawać tutaj. Nic pan nie zobaczy.

— Zostajemy — odrzekł szorstko Ryland. —  
Mgła czy nie mgła.

— Proszę pana...

— Rozdzielmy się. Będziemy widzieć większą przestrzeń.

Kłusownik oblizwał wargi i obtarł je wierzchem dłoni. Nie podobał mu się ten pomysł. Perspektywa zostania tutaj samemu napawała go lękiem.

— Nie ma sensu... — zaczął bez przekonania.

— Jest sens. Niech pan spojrzy, nie chcę, żebyśmy się oddalali na pół mili. Tylko sto jardów, nie więcej. Powiedzmy, że ja zostanę tutaj, a pan pójdzie kawałek dalej wzdłuż brzegu. Wybierze pan sobie miejsce na kryjówkę. A jeśli będzie mnie pan potrzebował, przyjdę natychmiast.

— Tak. — Freddie Law splunął na ziemię. — Ale jeśli są tu te stwory, które widziałem w potoku, pańska pomoc nie wystarczy, panie Ryland.

John Ryland patrzył, jak tamten się oddala; szara mgła zasłoniła go po paru sekundach. Było zupełnie jasne, że stary człowiek boi się śmierci, że naprawdę wierzy w te olbrzymie kraby.

Ryland rozejrzał się wokół. Było mnóstwo kryjówek, głównie w skałach. Mógł się cofnąć kilka jardów i stanąć na brzegu lasu, ale stamtąd nie mógłby obserwować wody. Zapalił papierosa, zaciągnął się głęboko. Skóra cierpła mu ze strachu. Przeraziła go myśl, że Phil i Paul zginęli gdzieś tutaj, nad jeziorem. Być może utonęli, a ich ciała leżą gdzieś w szlamie na dnie, niezauważone przez płetwonurka. I Toby. To było najdziwniejsze. Ale wiedział, że nie rozwiąże tej tajemnicy, siedząc

sobie bezpiecznie w Royal Stag.

Oparł się plecami o skałę. Jego myśli wróciły do Christine. Było w niej coś, co go niesamowicie pociągało. Chciał jutro pójść z nią do łóżka. Ta myśl wprawiła go w dobry humor. Poczul lekkie podniecenie.

Noc ciągnęła się powoli. Ponad nisko wiszącą mgłą wschodził księżyc.

Bruce McKechnie był niespokojny. Reszta domowników udała się na spoczynek już godzinę temu, ale lord pozostał w gabinecie i żuł wypalone cygaro. Światło było zgaszone, zasłony odsunięte. Blask księżyca zaćmiewała nieco upiorna mgła. Nie mógł opanować drżenia — nie dlatego jednak, że przyszły mu na myśl duchy dawno zmarłych przodków i chłopów żyjących na tej ziemi. To, co go trapiło, było realne, niebezpieczne.

Obawiał się, że kraby nie pozostaną na zamkniętym obszarze jeziora, skoro mogą wędrować po otwartej przestrzeni. Przyjmując, że schroniły się tu tymczasowo i kiedyś będą chciały stąd się wynieść. Próbował się pocieszać tą myślą. Może już odeszły? Życie krabów reguluje księżyc, są bardziej aktywne podczas pełni. Może wróciły już do morza podziemnym tunelem? jeśli tak, problem był rozwiązany. Ale lord musiał być tego pewien. Przekłęta mgła. Gdyby nie ona, mógłby sobie siedzieć bezpiecznie we własnym gabinecie i stamtąd obserwować jezioro.

Wstał. Wiedział, że nie zazna spokoju, dopóki sam wszystkiego nie sprawdzi. Niezbyt uśmiechała mu się wyprawa nad jezioro. Podeszedł do

przeciwległej ścianie pokoju i otworzył długą, mahoniową szafkę na broń. Światła było wystarczająco dużo, żeby rozpoznać poszczególne egzemplarze. Para dwunastek, sztucer, karabin 240 na jelenie. Zdjął sztucer i zważył go w dłoniach. Karabin dawał mu poczucie siły. Znalazł pudełko z nabojami i wrzucił zawartość do kieszeni tweedowej marynarki. Kilka minut później, ukradkiem wymknął się w noc.

Freddiemu było zimno. Drżał i szczełał zębami również ze strachu. Bardzo się bał. panowała kompletna cisza i to właśnie oznaczało, że coś jest nie tak. Zastanawiał się dlaczego na środku jeziora nie słychać kaczek. Próbował przekonywać siebie, że to z powodu mgły, ale wiedział, że to nieprawda, gdyż mgła nie uniosła się jeszcze od czasu przylotu ptaków.

Nie miał zegarka, ale mógł w przybliżeniu określić czas według pozycji księżyca. Było gdzieś między drugą a trzecią. Stał tutaj ponad trzy godziny. Tylko myśl o pieniądzach powstrzymywała go przed tym, żeby pójść i powiedzieć Rylandowi, że ma już dosyć. Dwadzieścia pięć funtów leżało na górze, na szafce w jego pokoju. O świcie dostanie drugą połowę. Miał nadzieję, że nastąpi to szybciej.

Zimno jakby trochę zelżało. Opadały mu powieki. Senność nie jest czymś niezwykłym podczas nocnego czuwania, ale jest niebezpieczna. Można złapać zapalenie płuc. Czasem, podczas letnich miesięcy, sypiał pod gołym niebem na wrzosowisku. Przypomniał sobie niesamowite ko-

lory tego naturalnego łoża i słodki zapach czarnych jagód. Głowa opadła mu gwałtownie w dół.

Zapadł w drzemkę. Śniła mu się wonna sierpniowa noc, nawoływania kulików, szum wody.

Nagle przebudził się i dostrzegł niekształtną formę wydostającą się z cienia. Małe, czerwone oczy hipnotyzowały go, nie pozwalając uciec. Niewypowiedziany strach sparaliżował jego ciało.

Patrzył. Stwór był teraz coraz bliżej, jard od niego i wpatrywał się weń wrogo. Uniósł szczyp-



ce wielkie i ostre jak kosa. Poczuł, że dotknęły jego szyi, i że leci z niej ciepła krew.

Freddie Law nie mógł nawet krzyknąć. Chciał zamknąć oczy i nie patrzeć, ale nawet tego nie był w stanie zrobić. Woda sięgała mu do piersi, potem już do szyi. Krew opryskiwała szatańskiego stwora. Freddie chciał umrzeć, ale oprawca nie spieszył się. Szkarłatna woda zakotłowała się i speniła. Wynurzyły się z niej inne kraby. Beładnie macały szczypcami, szarpały sztywne ścięgna, raniły ramiona i nogi. Oczy Freddiego zasnęła czern.

John Ryland wrzucił niedopałek kolejnego papierosa do wody i wstał. Przytupywał nogami i zacierał zgrabiałe ręce. Spojrzał na zegarek. Była czwarta dwadzieścia pięć. Księżyc już bladł. Panowała cisza i spokój.

Zagwizdał. Nie było sensu trzymać tu dłużej starego kłusownika. Cokolwiek działo się wokół, Loch Merse było dzisiaj spokojne. Zastanawiał się, jak mógł uwierzyć w tę historię o krabach? Zagwizdał ponownie. Nie odpowiedział mu żaden sygnał ani ruch. Próbował dostrzec coś przez srebrzyście szary mrok, ale teraz widoczność była ograniczona do trzech, czterech jardów.

— Freddie — zawołał cicho. — Czas wracać. Był zaintrygowany i zmartwiony zarazem.

Obawiał się, że stary człowiek wpadł do wody i utonął. Ale bardziej prawdopodobne było, że uchrzył się gdzieś i zasnął. Ruszył w kierunku stanowiska Freddiego.

Sto jardów dalej młody człowiek zatrzymał się i znowu zagwizdał.

— Stary drań mnie oszukał — stwierdził. — Po prostu poszedł do domu. cholera, pójdę chyba i wyciągnę go z wyra.

Gniewnie ruszył dużymi krokami wzdłuż skalistego brzegu Loch Merse, usiłując przypomnieć sobie drogę. Dwa razy omal się nie wywrócił. Tak był przejęty poszukiwaniem drogi powrotnej, że nie zauważył twarzy, która patrzyła nań zza olbrzymiego pniaka i wąskich oczu, które rozbłysły złowrogo, rozpoznawszy brata Phila Rylanda.

Dłonie Bruce'a McKechnie zacisnęły się na karabinie. Uniósł go na wysokość ramienia, ale opuścił z powrotem.

— Po kiego diabła on się tu kręci? — zamruczał pod nosem. — Wścibiśki bękart.

Po chwil mgła skryła Rylanda. Lord zaśmiał się cicho. Był całkowicie usatysfakcjonowany nocnym czuwaniem. Kraby odeszły do morza, był tego pewny. Gdyby pozostały w jeziorze, niewątpliwie wynurzyłyby się podczas pełni. Miał nadzieję, że teraz nikt się nie dowie, że w ogóle istniały. A John Ryland będzie się do końca życia zastanawiać, co się stało z jego bratem i Paulem Barretem.

Zawiesiwszy karabin na ramieniu, McKechnie zawrócił w kierunku hotelu Cranlarich.

Światło nie paliło się w chacie Freddiego.

Zaniepokoiło to Rylanda. Droga powrotna, jaką przebył przez mały las, nie była łatwa. Kilka razy upadł, wykręcił kostkę, a ręce i twarz miał podrapane.

Nie pukał do drzwi, otworzył je od razu. Zaskrzypiały nie nasmarowane zawiasy. Stał na progu i zorientował się, że starego człowieka nie ma w domu. Nie wrócił znad jeziora.

— Freddie — zawołał. — Jesteś tu?

Wybaczyłby kłusownikowi dezercję, gdyby tylko wynurzył się z ciemności. Ale wszędzie było cicho. Ryland zapalił latarkę i po paru minutach upewnił się, że w chacie nie ma nikogo.

Wyszedł na zewnątrz. Przez chwilę nie był w stanie podjąć decyzji. Zastanawiał się czy -próbować odnaleźć drogę nad jezioro i szukać zaginionego. Było to jednak bezsensowne, ponieważ mgła otuliła wszystko gęstą bielą. Do świtu zostało jeszcze parę godzin.

Zaczął się bać o Freddiego Lawa. Miał wrażenie, że kłusownik został porwany przez demony nocy...

Zniknął bez śladu, tak samo jak jego brat i Paul Barret. Nie słyszał przecież podczas długich godzin czuwania żadnego dźwięku.

Ryland postanowił, że rano pójdzie do Bruce'a McKechnie i wyciągnie z niego wszystkie informacje na temat tych tajemniczych wydarzeń.

## Rozdział szósty

— Przykro mi, sir, ale lord jeszcze nie wstał. Zechce pan zostawić wiadomość?

John Ryland spojrział na niewzruszoną twarz Canversa. Nie wątpił, że mówi prawdę.

— Chciałbym pójść i obudzić go. Powiedz, że John Ryland chce się natychmiast z nim zobaczyć. To bardzo pilne.

— Przykro mi... — Canvers rozdziawił usta, wytrzeszczył oczy zdumiony i oburzony, gdy młody człowiek silnie go odepchnął.

— Cóż, u diabła, ma oznaczać to wtargnięcie, panie Ryland?

Ryland zatrzymał się i odwrócił wzrok. Bruce McKechnie stał na podeście pierwszego piętra.

— Co tu się dzieje? — spytał ostro John Ryland zdecydowany, że nie da się nastraszyć. — Gdzie jest Freddie Law? Co pan z nim zrobił?

— Drogi chłopcze, nie widziałem tego kłusownika od wielu tygodni, nie wiem, gdzie jest i nie obchodzi mnie to.

— Był na brzegu Loch Merse do czwartej trzydzieści tego ranka.

— O, naprawdę? No cóż, nie powinien prze

bywać na terenie mojej posiadłości, więc jeśli coś mu się przydarzyło, to jego sprawa.

— Ja również byłem na terenie pańskiej posiadłości, panie McKechnie. — Ryland wpatrywał się w twarz lorda. — Niedaleko miejsca, w którym był Law. I on nagle rozpląnął się, przepadł jak kamień w wodę.

— A cóż pan chciał osiągnąć stercząc całą noc nad jeziorem? Może' szukał pan pstrągów, he? Albo łososi? chyba wie pan, że kłusownictwo jest surowo karane.

— Daj pan spokój, panie McKechnie, nie interesują mnie ani pańskie pstrągi, ani łososie. Szukaliśmy tych olbrzymich krabów!

Lord wpatrywał się w mężczyznę stojącego w hallu, ale nawet drgnieniem powieki nie zdradził wstrząsu, jaki w nim wywołała ta wiadomość.

— Jest pan szalony, — Jego usta wyciągnęły się w szyderczym uśmiechu. — Domyślałem się tego już wtedy, kiedy wtargnął pan do mojego gabinetu. Powinno się pana zamknąć. I jeśli w tej chwili nie opuści pan mojego domu i tego miejsca, wezwę policję.

— W porządku, mam zamiar skontaktować się z nimi jak najszybciej — odparł Ryland. — Tu bez przerwy giną ludzie, myślę więc, że bez wątplenia to ich zainteresuje.

— Wynoś się!

Ryland obrócił się na pięcie. Był zbyt pory-

wczy. Popelnił błąd, gdyż z tym facetem niczego się nie zyska przy użyciu siły. okazał się zbyt inteligentny. Postanowił wrócić do Royal Stag i obmyślić następne posunięcie.

— Jeszcze pan o mnie usłyszysz — rzekł gniewnie, obracając się i zawadzając o Canversa.

Gdy przechodził przez wyłożony skalnymi płytami dziedziniec hotelu Cranlarich, zauważył zaparkowane samochody gości, którzy przyjechali na następne tygodniowe polowanie. Nie zazdrościł im luksusowego pobytu. To, co nawiedziło Loch Merse, z pewnością wkrótce zażąda nowych ofiar.

— Dzieją się tutaj bardzo dziwne rzeczy — powiedział Ryland do Christine Blacklaw, siadając na jej łóżku.

Córka właściciela pensjonatu Royal Stag zawsze wstawała późno. godziny, w których pracowała, nie sprzyjały wczesnemu zrywaniu się ze snu. Przecierała śpiące oczy, przyglądając się przystojnemu młodemu człowiekowi, który ścisnął jej rękę.

— Myślisz, że Freddie mówił prawdę o tych wielkich krabach?

— No cóż, z pewnością nie kłamał. Oczywiście, mógł się pomylić ale jestem skłonny wierzyć, że w jeziorze coś jest. Niekoniecznie kraby, ale coś wielkiego i niebezpiecznego. No cóż,

McKechnie mi nie pomoże, a nie mam żadnych dowodów, więc muszę działać na własną rękę.

— Och, John, bądź ostrożny. Proszę.

— Nie martw się. — pogłaskał ją po rękę i próbował uspokoić. — Nie zrobię żadnego głupstwa. Rzeczą, która mnie martwi najbardziej jest to, co się stało z Freddim Lawem. Możliwe, że spotkał go ten sam los, co mojego brata i Paula Barreta, ale co mam robić? Czy powinienem zgłosić jego zaginięcie na policji, skoro mógł gdzieś ukryć się z własnej woli? Zawsze przecież istnieje taka możliwość, chociaż nie widzę żadnych prawdopodobnych przyczyn.

— Policja przeszukała jezioro i odeszła z niczym — odparła z zadumą.

— Hej, mgła się rozrzedza! — wstał i podszedł do okna. — Słońce zaczyna przeświecać.

— Już od godziny.

— Naprawdę? — Słabe promienie słońca roznieciły w nim nowy zapal.

— Muszę obejrzeć jezioro za dnia. Nocą widać było tylko na odległość wyciągniętej ręki.

— Jeśli nie mogę cię powstrzymać od pozostania w Cranlarich — powiedziała — to działaj rozważnie.

— To znaczy?

— U stóp Criffel jest chata owczarza. Mały kamienny domek w dolinie. Owczarz nazywa się Sandy Cline, jest starym człowiekiem. Nie widziałam go już od roku. przychodził kiedyś do pubu, ale od dawna się już tam nie pojawia. W czasach Jamesa

McKechnie miał parę owiec, ale Bruce zabronił wypasu. Sandy pomagał więc doglądać wrzosowiska i asystował przy wiosennym wypalaniu.

— Nie zamierzam korzystać z pomocy ludzi lorda — warknął Ryland.

— Ale on nie jest leśniczym McKechniego — zapewniła go. — W gruncie rzeczy nienawidzi lorda. Ale mieszka blisko jeziora i jeśli coś tam się dzieje, to powinien o tym wiedzieć.

— Warto spróbować. — Usiadł znów na łóżku i pocałował ją. Jego ręka przez chwilę leżała na jej piersi, palcami gładząc nylon opinający twarde sutki. — Wrócę tu wieczorem.

— Będę czekać. — Zamknęła oczy, a ich usta spotkały się.

Sandy Cline rzadko teraz oddalał się od swojej chaty. Był wysoki i szczupły, ale ostatnio mocno się zgarbił. Jego gęste i rozczochrane włosy wystawały spod nasuniętej na czubek głowy czapki, którą nosił nawet w domu. Bruzdy na twarzy świadczyły o niełatwej drodze życia, o smutku po stracie żony. Nie mógł stąd wyjechać, nie miał dokąd. Nikt nie zatrudniłby starego owczarza. Tu miał przynajmniej dach nad głową i skromną pensję. A pracy było niewiele, mógł więc zajmować się swoimi sprawami.

W dolinie niosło się echo uderzeń małej siekiarki. Sandy Cline rąbał drzewo na opał. Nie śpieszył się,



jako że nie miał tego dnia nic innego do roboty. Sięgnął właśnie po następny kłoc drewna, gdy zauważył cień człowieka. znieruchomiał. Nikt nie przychodził tu od bardzo dawna.

— Panie Cline?

Obrócił się wolno i zobaczył młodego mężczyznę. — To jeden z gości hotelowych albo ktoś z policji — wyszeptał — przyjeżdżali przecież dwa dni temu, gdy zginęli ci dwaj goście.

— Tak — powoli odrzekł owczarz, przyglądając się człowiekowi, który stał przed nim. — Jestem Sandy Cline. Co mogę dla pana zrobić? Kim pan jest?

— Mam nadzieję, że może pan całkiem dużo dla mnie zrobić — powiedział Ryland, siadając na stercie gałęzi. — Widział pan może ostatnio Freddiego Lawa?

— Freddie Law? — Na twarzy starca pojawiła się podejrzliwość, gdyż nikt w Cranlarich nie pytał o starego kłusownika, ot tak, z dobroci serca. — Nie, dawno już go nie widziałem. Czemu pan pyta?

— Ponieważ zniknął ostatniej nocy — rzekł Ryland. — Między jedenastą trzydzieści a czwartą trzydzieści, na brzegu Loch Merse.

— Niech Pan ma go w swojej opiece. — Sandy Cline zbladł i zachwiał się na nogach. — I niech ma w opiece tamtych dwóch.

— Jeden z nich jest moim bratem. Dlatego tu jestem.

— Więc pozwól, chłopcze, że dam ci radę. —

Owczarz uniósł drżącą rękę i wskazał niebo nad wysokim szczytem Criffel. — Wyjedź z Cranlarich tak szybko, jak możesz, i nie próbuj tutaj kiedykolwiek wracać!

— Ale dlaczego?

— Nie rozumiesz, chłopcze? Wyjeżdżaj stąd... zaraz!

— Myślę, że pan wie, co się mogło stać z Freddiem — zaryzykował Ryland. — I z tymi dwoma. Ja stąd nie wyjadę. Ani z powodu McKechniego, ani z niczyjego innego.

— Proszę nie mówić, że pana nie ostrzegałem.

Ryland wstał.

— Nie wypędzi mnie stąd ani lord, ani żaden jego najemnik — warknął.

— Posłuchaj mnie. — Cline zakłopotany rozłożył ręce. — Nie jestem w służbie McKechniego. Owszem, pomagam mu wypalać wrzosowisko, ale nic ponadto.

— I nie pomoże mi pan?

— Chciałbym, chłopcze. Wierz mi. Chciałbym. Ale nie mogę. Nie mogę też niczego powiedzieć policji. Nie uwierzyliby mi. Zabraliby mnie stąd i wsadzili do domu wariatów, i tylko ja wiedziałbym, że nie jestem obłąkany.

— Innymi słowy nie chce się pan ośmieszyć, mówiąc, że widział pan na Loch Merse olbrzymie kraby?

— Kraby? — Oczy Sandy'ego Cline'a zwięzły się. — Powiedział pan „kraby”, proszę pana?

— Tak. — Ryland zadrzał. — Wielkie kraby. I w tej chwili, mimo że wydaje się to absurdalne, jestem skłonny sądzić, że to one są odpowiedzialne za zniknięcie trzech mężczyzn i psa.

Przez chwilę panowała cisza. Stary człowiek wolno kręcił głową. W końcu odezwał się.

— To, co widziałem, to nie były kraby. To było dużo, dużo większe. Coś w rodzaju wija wypełniającego z wody — tuziny nóg, ale bez głowy.

Wzdrygnął się, jakby koszmarne widok wrócił do niego. — To nie było ziemskie stworzenie. To dzieło szatana, spłodzone w piekle.

— Myślę — zadumał się Ryland — że to raczej nieprawdopodobne, żeby Loch Merse było zamieszkane przez więcej niż jeden gatunek nadnaturalnej wielkości stworów. Kiedy pan widział tego... tego krocionoga?

Mniej więcej tydzień temu. Miałem ochotę na kieliszeczek, noc była piękna, więc wybrałem się do wsi. Nie ma innej drogi, trzeba przejść koło jeziora. Byłem na wschodnim brzegu, gdy to zobaczyłem. Woda się zmarszczyła, jakby wzburzył ją jakiś prąd. Wpatrywałem się i nagle ukazał się w świetle gwiazd jakiś poruszający się powoli kształt, płynący do brzegu. Sto, może dwieście jardów ode mnie. Nie mogłem w to uwierzyć. Gdyby to było w drodze powrotnej, po kieliszku, to owszem. Uciekłem i od tej pory nie wysunąłem nosa z doliny. Ten potwór załatwił dwóch strzelców, panie, i Freddiego Lawa

pewnie też. Niech pan dziękuje Wszechmogącemu, że pana nie dostał, gdy przechodził pan tamtędy po zmroku.

Sandy Cline rozglądał się z przestachem, a jego wychudzone ciało drżało. John Ryland wiedział, że stary człowiek nie kłamie.

— Wierzę panu — powiedział Ryland. — Tylko nie sądzę, że to, co pan widział, było olbrzymim wodnym wijem. To były kraby, tuziny krabów dużych jak psy.

Owczarz nie odpowiedział. Opowieść o nocnym zdarzeniu wyczerpała go i teraz powoli się schylał, aż usiadł na stercie drewna, z oczami wbitymi w ziemię. Odezwął się dopiero po pewnym czasie.

Proszę pana, jestem starym człowiekiem.

— Uniósł oczy, aż napotkał wzrok Rylanda i uśmiechnął się słabo. — I niedługo pożyję na tym świecie. Ale nawet za tysiąc funtów nie poszedłbym nad jezioro. Nawet za dnia. Następnym razem zbliżę się do brzegu w trumnie, w drodze na cmentarz.

— Cóż, teraz wiemy na pewno, że coś jest w jeziorze; trzeba jeszcze postanowić, co dalej robić. Tak jak pan powiedział, panie Cline, nie możemy tego rozpowiadać, przynajmniej na razie. Nawet we wsi. Niech pan stąd wyjeżdża, póki pan może, niech pan zostawi w spokoju to, co pana nie dotyczy. Ryland wiedział, że nic nie skłoni starego człowieka do towarzyszenia mu w nocnej wyprawie. Żadna zapłata nie wyciągnie go po zmroku z tej doliny. Nie ma sensu prosić. Czuję,

że śmierć Freddiego Lawa jest dla owczarza czymś pewnym. Ale coś jeszcze trzeba zrobić. Phil i Paul nie żyją, w to nie wątpił. Myśl o zemście wydawała mu się w tej chwili banalna, jednak nie zamierzał wracać do Londynu, zanim w jakiś sposób nie wyrówna rachunków. Zginęło trzech ludzi. Nieczysta gra jest wykluczona — policja już tu była. Potrzebował dowodów, zanim zawiadomi ich o śmierci Freddiego Lawa. Niewinni wieśniacy, dzieci bawiące się nad jeziorem — wszyscy byli w niebezpieczeństwie. Jak dotąd kraby atakowały tylko nocą. Być może wkrótce zaczną wychodzić na brzeg przy świetle dziennym. Westchnął. W tej chwili spoczywała na nim odpowiedzialność za bezpieczeństwo mnóstwa ludzi. A on nie miał pojęcia, co robić.

— Dziękuję panu, panie Cline. — Ryland spojrział w dół na owczarza. — Potwierdził pan pewne pogłoski, które do mnie doszły. Zobaczę, co mogę zrobić z tymi krabami.

— Nie bądź głupi, człowieku. Nie ma żadnej rady. Nawet McKechnie, niech się smaży w piekle. To z jego powodu te potwory tu są. Zesłane przez szatana na miejsce podobne piekłu. Wszyscy musimy płacić za świństwa tego człowieka. Lord popełnił tu nikczemne morderstwa i musi za nie zapłacić. I my również. Na mieszkańcach Cranlarich ciąży piętno śmierci. Mówię panu, niech pan stąd wyjeżdża, dopóki pan może, póki nie jest za późno!

## Rozdział siódmy

Bruce McKechnie patrzył przez okno gabinetu na zalany słońcem, jesienny krajobraz. Jezioro lśniło, wyglądało jak złoto-brązowy dywan, leżący na alei między wysokimi bukami. Liście opadały cicho jak płatki śniegu. Spokoju nie zakłócał najmniejszy podmuch wiatru.

Jego pięści to zaciskały się, to otwierały, żyły na czole nabrzmiały — lord kipiał z gniewu. Oczy utkwiał na wijącej się, porytej koleinami drodze prowadzącej z hotelu Cranlarich w dół, przez całą dolinę. Patrzył na oddalający się samochód.

Jaguar i mercedes wyjechały wcześniej. Na brukowanym dziedzińcu stał tylko jego własny range rover.

Bogaci myśliwi z południa wyjechali i już nie wrócą. Niezadowoleni klienci będą rozsiewać złe wieści, opowiadać w ekskluzywnych klubach, jak to rozpadło się łowieckie imperium Cranlarich. Polowania się skończyły, wieśniacy unikają tego miejsca i nie ma skąd wziąć naganiaczy. Żadne pieniądze, żadne groźby nie skłonią ich do naprowadzenia cietrzewi pod lufy strzelców. Wczorajsze polowanie właśnie z tego powodu było

bezewocne. Myśliwi sami usiłowali podchodzić ptaki, co przyniosło żalosne rezultaty. Późnym popołudniem wybuchła kłótnia i McKechnie musiał zwrócić pieniądze wyjeżdżającym klientom. Była to ostatnia rzecz, jaką mógł zrobić, aby utrzymać reputację Cranlarich w ekskluzywnych kręgach myśliwych.

Pięciu gości, którzy mieli przyjechać na weekend, zadzwoniło, odwołując przybycie. Nie mieli czego tu szukać, skoro nie ma ptactwa. Rozgłos, jaki zrobił się po zaginięciu dwóch myśliwych, spowodował, że hotel Cranlarich świecił w tym tygodniu pustkami. Plotki krążyły już po myśliwskim światku. Musiało tak się stać. A winne temu były kraby!

Bruce McKechnie usiadł przy biurku i oparł głowę na rękach. Próbował uspokoić się. Zwyciężyło opanowanie. Najpierw przyszła złość, potem rozpacz, na końcu — zimne rozumowanie.

Zapalił cygaro i raz jeszcze przebiegł pamięcią ostatnie wypadki. Kraby, swoją drogą, wyświadczyły mu też przysługę. Freddie Law nie należał do jego ulubieńców. Ale dalsza obecność skorupiaków martwiła McKechniego.

Zdecydował, że jeśli kraby nie wrócą do morza, muszą zostać wytępione. Trzeba to załatwić, zanim opinia publiczna dowie się o ich istnieniu. Ale jak?

Nagle wpadł na pewien pomysł.  
Przypomniał

sobie zeszłoroczny gang kłusowników rzecznych. Użyli dynamitu. Zanim przybył pomocnik szeryfa, mieli już kilkaset funtów pstrąga. Eksplozję usłyszeli jacyś obcy, kilka mil stąd; myśleli, że to manewry wojskowe albo że w jakimś kamieniołomie wysadzono skały.

W posiadłości Cranlarich był przecież kamieniołom, którego nie eksploatowano od czasów Jamesa McKechnie. Był też dynamit.

Lord uśmiechnął się. Im wcześniej zapadnie zmrok, tym szybciej będzie mógł przystąpić do akcji. Sprawi krabom bardzo miłą niespodziankę.

Było już ciemno, gdy Bruce McKechnie wyszedł z hotelu Cranlarich. Niewielki personel hotelu był zajęty własnymi sprawami, jako że po wyjeździe gości nie było nic do roboty: ani gotowania, ani sprzątanania...

Szedł szybko, niosąc wielką, pustą walizkę. Księżyc jeszcze nie świecił. Lord musiał przynieść dynamit ze starego kamieniołomu. Miał nadzieję, że coś zostało, i że zapalniki są nietknięte. Pamiętał, że jako chłopiec wrzucał płonące fajerwerki do ogniska. Nigdy nie przypuszczał, że te młodzieńcze doświadczenia przydadzą mu się w dojrzałym życiu. Tylko, że teraz gra była poważniejsza i dużo bardziej niebezpieczna. Był jednak pewien, że po tym, co planuje tej nocy, żadne stworzenie nie ujdzie z życiem.

Lord ostrożnie schodził po stromym zboczu prowadzącym do kamieniołomu. Słabe światło gwiazd odkrywało zarysy otoczenia, kreśląc ostre krawędzie starego wyrobiska. Na skrajach przepaści rosły karłowate drzewa, utrzymując się w jakiś sposób, uparcie trwając na przekór kamiennym lawinom, spadającym po każdej silnej ulewie.



Grunt wyrównał się, lord zobaczył symetryczny kształt baraku dla robotników, pozbawioną okien budowlę z blachy falistej i drewna. Coś z niej czmychnęło, gdy się zbliżał. Krew uderzyła mu do głowy. Pewnie szczur. Wyjął z kieszeni małą latarkę i zapalił ją; ze światłem czuł się bezpieczniej.

Drzwi były nie zamknięte. Zaskrzypiały głośno, gdy je otwierał. Wilgotne, smrodliwe powietrze uderzyło z wnętrza; zmarszczył nos. Nikt tu nie był od bardzo dawna. Tylko szczury.

Drewniane skrzynki były ustawione w jednym miejscu i pokryte grubą warstwą kurzu. Z sufitu zwisały pajęczyny. Wielki, nieruchomy pająk przyglądał mu się ciekawie ze środka swej sieci.

McKechnie podszedł do skrzynek i starł dłonią warstwę kurzu. Znalazł jakieś narzędzie, zepsute części, puste opakowania. Niespokojnie przesunął na bok jedną skrzynkę za drugą. Materiały wybuchowe muszą być gdzieś tutaj. Wreszcie znalazł skrzynkę, której szukał. Była nowa, nie otwierana i zapieczętowana. Nosiła datę; 1950. W tym roku zamknięto kamieniołom.

Podniósł leżący na podłodze łom i włożył go pod wieko. Rozległ się głośny trzask, kilka deszczulek odleciało. Poświecił latarką do środka skrzynki. Ośmiocalowe laski dynamitu były starannie ułożone w rządki, z przymocowanymi zapalnikami, gotowe do użytku.

Lord zaśmiał się pod nosem. Wszystko szło zgodnie z planem. Zaczął ostrożnie przekładać je do walizki. Dwa tuziny lasek powinny wystarczyć. Po wybuchu w jeziorze nie pozostanie nic żywego. Szkoda mu było tych wszystkich ryb, tych łososi i pstrągów, ale nic nie mógł na to poradzić.

Absolutnie najważniejszą rzeczą było zgładzenie olbrzymich krabów.

W parę minut później wyszedł z baraku, zgasił latarkę i zaczął wspinać się w górę kamieniołomu. Nie mógł sobie pozwolić na jakiegokolwiek ryzyko. Jeśli chodzi o mieszkańców Cranlarich, to pomyślał na pewno, że gang kłusowników z miasta nawiedził posiadłość i kłusuje nad jeziorem używając dynamitu. Wieśniacy zresztą nie będą się tym z nadto interesować. Czasem dobrze jest — pomyślał McKechnie — być znieawidzonym lordem. Dzięki temu motłoch trzyma się na dystans.

Droga z kamieniołomu na północny brzeg Loch Merse zajęła mu dobrze ponad godzinę. Gdy przybył na miejsce, gdzie stała zacumowana mała motorówka, był całkiem spocony. Odetchnął z ulgą, gdy wreszcie ustawił ciężką walizkę na ziemi. Był strasznie zmęczony.

Mógłby użyć większej łodzi, przeznaczonej do łowienia ryb, ale miało to pewne niedogodności. Duży silnik był głośny, ludzie mogliby go usłyszeć, szczególnie jego własny personel. Najlepsza była wiosłowa łódź pomocnika szeryfa, ale płynęła zbyt powoli.

Stał przez minutę czy dwie, chcąc przed wypłynięciem uspokoić oddech. Nagle przyszła mu do głowy myśl, która spowodowała, że przez chwilę chciał porzucić całe przedsięwzięcie. Przeraził się, że może kraby były tu, wokół, czekały w trzcinach, żeby go zaatakować, zanim wypłynie na głębszą wodę. W ciemności nocy mógł zniknąć bez śladu, tak jak Phil Ryland, Paul Barret i Freddie Law...

Z wysiłkiem zebrał się w garść. Było raczej nieprawdopodobne, żeby kraby ruszyły się przed

wschodem księżyca. A poza tym, bez ryzyka niczego się nie osiąga. Musiał zaaranżować morderstwo swego brata — inaczej nie byłby w tej chwili lordem. Całe jego życie było serią ryzykownych przedsięwzięć, tak jak i ta noc. Nie było powodu, aby przypuszczać, że dziś opuści go szczęście.

Silnik zapalił przy pierwszym pociągnięciu i łódź zaczęła wolno odpływać od brzegu, przebijając się przez trzciny. Siedział przy sterze, wpatrując się przed siebie, ale refleksy, jakie rzucała zapalona latarka, oslepiły go tak, że nic nie widział.

Dziesięć minut później wyłączył silnik, wyjął z walizki pierwszą łaskę dynamitu i przytknął zapalniczkę do lontu. Sznurek zasyczał; rzucił łaskę daleko, patrząc jak znika, ciągnąc za sobą iskrzący ogon. W końcu zniknęła mu z oczu — teraz musiał się spieszyć.

Odpłynął kawałek, znów się zatrzymał, rzucił następną. Potem łódka znów ruszyła. Każdy z ładunków miał lont starczający na około pół godziny.

Był pewien, że żadna z podwodnych eksplozji nie mogłaby go zranić, mogła jedynie rozwścieczyć jakiegoś kraba, znajdującego się akurat poza terenem.

Gdyby Canvers albo Joe Kinlet usłyszeli stłumione wybuchy i przyszli na zwiady, to znacznie pokrzyżowałiby mu plany. Ta myśl nie dawała mu spokoju.

Łódź zostawiała za sobą białą smugę piany. Lord sterował jedną ręką, zapalał ładunki drugą i wyrzucał je na jezioro nie zwalniając. Zrobił koło wokół małej wyspy na środku jeziora, równoległej do wschodniego brzegu. Sprawdził czas. Minęło dwadzieścia minut. Wyrzucił ostatnią łaskę i

popłynął prosto do brzegu.

Wyszedł na ląd. Wciągnął łódź tak daleko, jak mógł i rzucił się do ucieczki. Pusta już walizka utrudniała mu bieg. Potknął się raz i upadł. Nawet nie zwrócił uwagi na to, że zranił się w kolano.

Światło paliło się jeszcze na parterze budynku hotelowego, gdy wkroczył w bukową aleję. Wszędzie było cicho. Jego akcja pozostała kompletnie niezauważona.

I wtedy usłyszał stłumiony łoskot pierwszego wybuchu w głębi jeziora, długie dudnienie, jak odległy grzmot. **Wszedł przez drzwi** frontowe i zanim dał się słyszeć drugi wybuch, dotarł do gabinetu.

McKechnie liczył głuche odgłosy podwodnych eksplozji, stojąc w oknie swojego gabinetu. Między nimi były około trzyminutowe przerwy. Właśnie nad Criffel wszedł księżyc, i w jego słabym świetle lord widział powierzchnię jeziora. Było na niej widać ruch wody.

Uśmiechnął się krzywo. Pomyślał, że zginie wiele ryb, ale jezioro ma połączenie z morzem i w końcu przypłyną nowe pstrągi i łososie.

Rozległo się pukanie do drzwi, a raczej szaleńcze walenie pięściami.

— Wejść!

Drzwi otworzyły się. To był Joe Kinlet, tuż za nim stał Canvers.

— Sir! — Na twarzy leśniczego widniała trwoga. — Na jeziorze coś eksploduje. Kłusownicy.

McKechnie podniósł głowę i nasłuchiwał.

— Kłusownicy. Idź, Joe, i zobacz, co się dzieje. Ty też z nim idź, Canvers. Nie róbcie nic ryzykownego. Ja tymczasem zadzwonię po policję.

Dwaj mężczyźni wyszli, zamykając za sobą drzwi. McKechnie znów usiadł. Nic więcej nie mógł zrobić. Nie miał zamiaru, dzwonić na policję. W tak odległych miejscach, kłopoty z telefonem zdarzały się bardzo często.

Żałował, że zabitych zostało tyle ryb, ale rano jego ludzie wezmą łodzie i pozbierają tyle martwych pstrągów i łososi, ile będą mogli. Kinlet będzie musiał patrolować okolice jeziora aż do rana, żeby zapobiec następnym atakom.

Miał nadzieję, że rano po powierzchni jeziora nie będą pływać jakieś zdechłe kraby. Były przecież zdecydowanie za ciężkie. Wyobrażał sobie, że leżą pewnie już teraz, martwe, w najgłębszym miejscu jeziora.

Nalał sobie szklankę brandy i z cedrowej skrzynki stojącej na stole wyjął jedno z najdroższych kubańskich cygar. Sukces wymagał małej uroczystości.

— Ja tu nikogo nie widzę. — Kinlet wyglądał zza kępy krzaków, jakieś piętnaście jardów od brzegu jeziora. — Dziwne. Co za sens, żeby wysadzić w powietrze wszystkie ryby w jeziorze, a potem zwiać?

Canvers splunął, ale nie odpowiedział. Ta sprawa kompletnie go nie obchodziła. Jego miejsce było w hotelu. Był na służbie u kilku lordów i jego wypadki poza dom ograniczały się do pomocy w organizowaniu pikników na wrzosowisku, podczas sezonu na cietrzewie.

Podniósł kołnierz płaszcza. chciał wracać do hotelu. Takie sprawy należały do obowiązków leśniczego.

— Podejdźmy jeszcze kawałek — wymamrotał

Joe Kinlet.

Canvers jęknął niezadowolony.

— Wydaje mi się, że to nie ma sensu — zaprotestował piskliwym głosikiem. — Kłusownicy uciekli. Nie mamy tu nic do roboty.

— A może nie uciekli — warknął Joe Kinlet.

— Może się schowali i czekają, żeby spuścić łodzie na wodę i pozbierać ryby.

Mężczyźni ucichli. Księżyc świecił jasno nad Criffel, a że mgły tej nocy nie było, cała ta część doliny była doskonale widoczna. Jezioro lekko połyskiwało. Eksplozje dobiegły końca.

— Zdaje mi się, że coś słyszałem. — Canvers podszedł bliżej do Kinleta. — Tam, w tych trzcinach.

— Zobaczymy, co się tam dzieje — wyszeptał.

Minuty mijały. Dźwięk powtórzył się — chłupot, jakby coś ciężkiego wydostawało się z mułu pośród trzcin.

— Co to? — Canvers kurczowo ścisnął ramię Joe Kinleta. — Co to może być?

— Jakby ktoś wyciągnął łódź z jeziora — odrzekł leśniczy. — Nie zauważyliśmy ich przedtem. Całe szczęście, że wziąłem strzelbę. Chodź, podejźmy bliżej.

Broń dodawała im odwagi. Jeśli to rzeczywiście kłusownicy, będą mieli przykrą niespodziankę.

Kinlet ruszył naprzód ze strzelbą gotową do strzału, Canvers podążał tuż za nim. Nie chciał wystawiać się na strzał.

Trzcina rosła gęsto w tym miejscu, była wysoka na cztery czy pięć stóp. Mężczyźni zauważyli, że się porusza, jakby szedł przez nią ktoś ciężki, z trudem torując sobie drogę.

Podchodził coraz bliżej. Od czasu do czasu dawał się słyszeć brzęk, jakby uderzały o siebie jakieś metalowe przedmioty. Następny jard i — cokolwiek to było — znalazło się na suchym lądzie, zmierzając ku otwartej przestrzeni.

Kinlet podniósł strzelbę na ramię. Już otwierał usta, żeby powiedzieć; „W porządku, chłopcy. Bez głupich żartów. Stańcie tutaj — ręce do góry! Zaraz tu będzie policja”.

Najbliższe trzciny rozchyliły się. Wielki kształt, rozmiaru cielecia, ale niemożliwy do rozpoznania w ciemności, sunął naprzód. Za nim coś kroczyło, bezkształtna masa, błyszczące, czerwone punkciki...

— Co to jest, do cholery?! — szepnęła Kinlet.

— Nie... nie wiem... — Canvers cofnął się nieco. Chciał coś powiedzieć, ale krtań odmówiła mu posłuszeństwa. Nogi się pod nim ugięły, jakby nie były w stanie dłużej nosić ciężaru ciała. Odwrócił głowę, ale nie mógł biec. Nie mógł też się zmusić do spojrzenia w przód.

— To są... kraby! — pisnął Kinlet. — Wielkie jak krowy.

Przez chwilę obie strony tego niespodziewanego spotkania były wyraźnie zaskoczone i stanęły jak wryte. Czerwone, drobne oczka mrugały ze zdziwieniem i nienawiścią wśród cieni rzucanych przez wysokie trzciny.

— Klik - khk - klik.

Krab na przodzie ruszył w kierunku ludzi, machając szczypcami. Dzieliły ich teraz trzy jardy.

Joe Kinlet zacisnął palce na spuście. Instynktownie uniósł lufę na wysokość czerwonych oczu. Rozległ się ogłuszający strzał, tuż za nim następny. Oba trafiły. Leśniczy wiedział, że nie chybił. Nic w

zasięgu strzału nie mogło przeżyć.

Coś uderzyło w strzelbę. Rozległ się metaliczny dźwięk, broń wypadła z rąk leśniczego i spadła między skały. Trzciny ożywiły się — coraz to nowe kształty pojawiały się na skalistym brzegu.

Wszędzie błyszczały czerwone oczy.

— Jezu! — Leśniczy cofnął się o krok i wpadł na Canversa. — Zobacz, ile jest tych skurwysynów! Uciekajmy!

Canvers stał i wytrzeszczał oczy w przerażeniu i niedowierzaniu. To nie mogło dziać się naprawdę. Te potwory nie miały prawa istnieć. Ale żyły, były właśnie tutaj, powłócząc odnóżami ustawiały się w szyku, formowały koło, z którego dwaj mężczyźni nie będą już mogli się wyrwać.

— Uciekaj!

To była ostatnia szansa. Kinlet pchnął Canversa w jedną stronę, zobaczył, jak ten potyka się i przewraca.

Kraby poruszały się szybko i zamknęły drogę odwrotu. Kinlet zatrzymał się i odwrócił do tyłu. Zahaczył nogą o służącego i ledwo zdołał utrzymać równowagę. Canvers zawył, zasłoniwszy twarz dłońmi.

Leśniczy spojrzął za siebie. Wokół niego - wszędzie były kraby, zbliżały się, zacieśniały krąg. Wytrzeszczył oczy. Usiłował znaleźć jakieś logiczne wytłumaczenie sytuacji.

— W porządku, skurwysyny. Jeśli chcecie napisać sobie biedy, to dobrze trafiłyście. — Kinlet uderzył pięścią najbliższego napastnika.

Uderzenie nie dosięgło celu. Ledwo ramię leśniczego znalazło się na wysokości oczu kraba, coś je chwyciło. Rozległ się dźwięk, jakby olbrzymie nożyce przecięły



napiętą, mocną strunę.

Kinlet obrócił się, aby uderzyć raz jeszcze, wyciągając do przodu broczący krwią kikut. Trzasnęła kość drugiej ręki. Powyrywane ścięgna i strzępy mięsa zwisały bezwładnie. Mimo to usiłował nadal rozpaczliwie walczyć.

Kraby zbliżyły się. Seria podwodnych eksplozji rozwścieczyła je, wyzwalając najgorsze okrucieństwo.

Ciało leśniczego zostało rozcięte od szyi do pachwin. Jeszcze żył, gdy kraby odrywały mięso od kości. Patrzył, jak pożerają jego jelita, nie rozumiejąc wciąż, co się dzieje.

Canvers leżał nieruchomy i cichy wśród kałuży krwi. Jego serce przestało bić.

Łysa głowa Canversa lśniła w świetle księżyca. Jeden ze skorupiaków chwycił ją między kleszcze i pociągnął. Rozległ się odgłos rozłupywanej czaszki. Głowa wysliznęła się ze szczypiec i potoczyła, uderzając o skały.

Bruce McKechnie usłyszał strzały i podszedł do okna. Do kogo — u diabła — strzela Kinlet? Coś musiało się stać nad jeziorem. Wyteżał wzrok, ale było zbyt ciemno.

Wrócił do biurka, otworzył szufladę i wyjął lornetkę. Miała noktowizor i była bardzo silna.

Nastawienie jej zajęło mu parę sekund. Ujrzał poruszające się w ciemności kształty. Wstrzymał oddech. Nawet z tej odległości, w mroku, nie mogło być pomyłki. Kraby przeżyły eksplozję i wyszły na brzeg. Nie potrafił rozpoznać szczegółów, ale zdawało mu się, że jego służący leśniczy zostali schwytani i pożarci, jak Jack Rouse.

McKechnie nie mógł im pomóc; zresztą wcale nie miał takiego zamiaru. Śmierć tych ludzi nie zmartwiła go. Pracowników łatwo było wymienić. Przeraziło go, że kraby wciąż żyją. Nic w jeziorze nie przeżyłoby dwudziestu czterech eksplozji. Ale te diabelne stwory nie ucierpiały ani trochę!

Tępo wpatrywał się w szkła lornetki. Widział teraz wyraźnie każdy ruch skorupiaków w świetle księżyca. Nagle zeszywniał. Ręce, którymi trzymał lornetkę, zadrżały.

Kraby ustawiły się w kształcie litery V, w szyku militarnym, idealnie równo... i skierowały w głąb łądu, w stronę hotelu Cranlarich!

Nie było żadnej wątpliwości, dokąd idą. Marszerowały prosto; w niewiarygodnym tempie pokonały wzniesienie... Policzył je. Pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt. Dołączyły do nich następne, wylaniające się z trzcin.

Rozpoczęła się inwazja na hotel Cranlarich.

## Rozdział ósmy

Nawet w obliczu nowej katastrofy, Bruce McKechnie nie mógł pogodzić się z przegraną na jeziorze. Kraby musiały być niesamowicie wytrzymałe, skoro mogły przeżyć taką eksplozję. Dwadzieścia cztery laski dynamitu, to jednak nie było co.

Wspomniął hałas, jaki wywołały podwodne wybuchy. Zastanawiał się, dlaczego cała moc wybuchów poszła do góry, zamiast skierować się w głąb jeziora. Czyżby była to sprawka tego podziemnego tunelu? A może winna jest struktura doliny? A może obie rzeczy? Na szczęście, lonty były aż tak długie, w przeciwnym razie mógłby nie zdążyć uciec znad jeziora. Ale teraz musiał działać szybko.

Zanim opuścił gabinet, wyjrzał przez okno — kraby były jakieś trzysta—czterysta jardów od hotelu. Słyszał już szczękanie ich kleszczy.

Przeszedł przez wejściowy hall. Słyszał dobiegające z kuchni rozmowy służby. Nic by nie osiągnął wszczynając alarm. Niech sami się o siebie martwią. Najważniejszy jest natychmiastowy odwrót — stwierdził — i nie zabrał z sobą nikogo.

Wyszedł wejściem dla dostawców i poszedł wolno w kierunku jodłowego lasu. W tym miejscu mógł czuć się całkowicie bezpiecznie.

- Klik - klik - klik.

Lord rzucił się pędem. Kraby były już na frontowym dziedzińcu. Jego uszu dobiegł metaliczny szcęk — wiedział, że otoczyły samochód, i że przypatrują się temu nieznanemu przeciwnikowi, który zagroził im drogę do

budynku.

Rozległ się trzask drewna — kraby najwyraźniej wyłamały dębowe frontowe drzwi. Kamienie runęły, przeszkody zostały zniszczone. Lord doszedł właśnie do brzegu lasu i śpiesznie się w nim zanurzył. Zatrzymał się dopiero, gdy przebiegł sto jardów po zalesionym zboczu. Uspokoił oddech i z drżącym sercem nasłuchiwał odgłosów dobiegających z hotelu Cranlarich.

Trzy służące jadły w kuchni późną kolację. Pani Mudie — posunięta w latach pomywaczka, Maggie — kucharka w średnim wieku i Elsie, młodzianka dziewczyna, której zadaniem było ślanie łóżek i sprzątanie pokojów gościnnych.

Tu, w Cranlarich, nie było o czym rozmawiać. Wszystko zostało powiedziane już dawno temu. Coś działo się tej nocy w posiadłości, ale nie martwiły się tym. Kłusownictwo i inne nieczne sprawy leżały w gestii Joe Kinleta. Cieszyły się, że Canvers też poszedł. Facet od rana do wieczora nie dawał im spokoju, wciąż wynajdywał dla nich jakąś robotę.

Usłyszały hałas. Zdawało się, że ktoś wyłamał drzwi i zabrał się do niszczenia sprzętów.

— Co to? — spytała pani Mudie, odstawiając talerz.

— Nie wiem — odparła Maggie. — Ale mam nadzieję, że posprzątają po sobie. Na pewno **znowu** przyjechały jakieś eleganty. Wypijmy, zanim tu będą.

— Nie mają tu nic do roboty. — Elsie zmrużyła oczy i sięgnęła po następny kawałek sera.

Nagle, drzwi kuchenne uchyliły się, po czym górna część futryny pękła, dolny zawias obsunął się, a wyłamany próg przeleciał nad stołem. Naczynia podskoczyły w powietrze i rozbiły się na podłodze. Trzy kobiety z krzykiem zerwały się na nogi. Zaczęły krzyczeć jeszcze

głośniej, gdy ujrzały wielkiego kraba, który pojawił się w drzwiach. Ruszył naprzód, zgruchotał resztki futryny i był już w kuchni.

Hall był pełen krabów. Syczały i potraçały się, każdy z nich chciał wejść do środka i znaleźć coś dla siebie.

Elsie wpadła w histerię. Pani Mudie zemdląa. Maggie chwyciła rondel i cofnęła się, ale nie było dokąd uciekać.

Spizarnia, przez którą można by się dostać na

tyły budynku, była zamknięta na klucz.

Canvers zawsze zamykał ją o wpół do dwunastej.

— Klik — klik — klik — rozlegało się wokół.

ruchliwe szczypce chwyciły Elsie za głowę. Ostre kleszcze odcięły jej nos i dolną wargę. Oczy dziewczyny wciąż wyrażały niedowierzanie. Krew spływała strużkami, plamiąc biały fartuch.

Maggie rzuciła rondlem, który odbił się od pancerza jednego ze skorupiaków i z brzękiem spadł na podłogę w kącie.

Krab — przewodnik stada, chwycił Elsie i pociągnął ją do siebie. Wytrzeszczone oczy dziewczyny znalazły się o parę cali od potwora. Trzymał ją przez kilka sekund, a kiedy odepchnął od siebie, z przeciętego gardła chlustała szerokim strumieniem szkarłatna krew.

Idąc w stronę Maggie, krab zmiażdżył leżącą panią Mudie. Maggie znalazła nóż. Trzymała go za rękojeść, opierając się o stół. Odwróciła wzrok od tego, co działo się przy drzwiach — po Elsie zostały już tylko krwawe szczątki, rozrywane przez kraby, a ciało pani Mudie leżało na środku kuchni. Maggie chciała umrzeć, ale wołała sama zadać sobie śmiertelny cios. Odwróciła nóż, trzymając stalowe ostrze na wysokości serca i pchnęła. Ból trwał tylko sekundę, może dwie, osunęła się na podłogę. Już nie żyła, gdy podszedł do niej jeden z krabów.

Kraby spędziły w kuchni najwyżej pięć minut. Po

trzech kobietach pozostały tylko strzępy ich wnętrzości i kałuże krwi.

Teraz, gdy pierwszy głód został zaspokojony, kraby opuściły kuchnię i powłócząc odnóżami szły od pokoju do pokoju.

Kilka weszło do góry, szerokie schody trzeszczały pod ich ciężarem, tynk opadał ze ścian i sufitów. Nie znalazły jednak żadnej żywej istoty.

Powoli opuszczały budynek, powracając do Loch Merse.

Bruce McKechnie domyślił się, że kraby wróciły do swych podwodnych kryjówek. Od strony hotelu nie dobiegał żaden dźwięk. Stał na skraju zagajnika i nasłuchiwał. Czuł, że jest na granicy rozpaczy. Właśnie teraz, gdy się cieszył, że je zniszczył, potwory wyszły z głębin i zemściły się.

Ukradkiem zbliżał się z powrotem do hotelu, zatrzymując się co parę jardów. Wszędzie było cicho. Gdy pokonał zakręt, spojrzął na hotel. Był pogrążony w ciemności, tylko niesamowite światło księżyca rzeźbiło jego sylwetkę na tle postrzępionych szczytów górskich. Żadnego ruchu.

Kilka jardów dalej ujrzał skutki inwazji. Tylne patio było zarzucone kamieniami i potłuczonym szkłem, jakby żadne okno w budynku nie pozostało całe. Wyłamane drzwi leżały przy wejściach. Parter był kompletnie zdewastowany.

McKechnie wspiał się na stertę drewna i cegieł, i wszedł drzwiami dla służby.

Korytarz prowadzący do kuchni był zasypany tynkiem. Zapalił latarkę i ujrzał rozmiar zniszczeń. Zdziwiło go, że budynek wytrzymał tak gwałtowny atak. Niektóre ściany pokryła pajęczyna pęknięć.

Wejście do kuchni było wielką, postrzępioną dziurą, w której niegdyś znajdowały się drzwi. Przeskoczył stertę

gruzu, usiłował unieść zwalony dźwigar i dopiero wtedy ujrzał wnętrze kuchni. Wszędzie była krew. Spływała ze ścian, krzepła na podłodze i resztkach zniszczonych sprzętów.

Poczuł się słabo. Zatoczył się, omal nie zwymiotował. Trzy kobiety rozdarte na strzępy. Możliwe, że jeszcze żyły, krzyczały o litość, gdy te potwory je rozrywały.

Coś poruszyło się w przeciwnym kierunku, na podłogę spadła lawina ceglanego pyłu. Zabrzęczały spadające sztuce. Lord skierował tam światło latarki. Ujrzał wszędzie sterty gruzu, ale jedna z nich się ruszała. Gęsty pył przysłonił wszystko.

— Boże! Nie! — syknął McKechnie.

Z rumowiska wydobył się krab i ruszył naprzód, torując sobie drogę z siłą buldożera. Szczęki potwora poruszały się, przeżuając coś. Było to czarne futro kota, poszarpane na strzępy i sklezione krwią.

Krab przeknął ostatni kawałek zdobyczy. Ale jego głód nie był jeszcze zaspokojony. Zobaczył następną ofiarę i musiał zdobyć ją za wszelką cenę.

McKechnie wycofał się na korytarz. Wiedział, że jeśli wpadnie w panikę, umrze. Jego prześladowca odepchnął kupę kamieni. Z sufitu spadł **następny kawał tynku**. Lord wycofał się, zdawał sobie sprawę z tego, że jest uwięziony. Wyjście dla dostawców było zaplombowane, zaś drogę na patio zagrażał krab.

Lord ruszył w stronę gabinetu. Stwór był tylko parę jardów za nim. McKechnie przeskoczył dziurę, w której kiedyś były drzwi. Jego biurko już nie istniało. Rzucił się do dużego okna... Zimne, nocne powietrze wypełniło pokój.

Spojrzał za siebie. Stwór stał nieruchomo, przyglądał się mu, pewny swej zdobyczy. Nie musiał się śpieszyć.

Lord wiedział już, co robić. Mógł złamać rękę lub nogę.

Może nawet gorzej. Ale warto było podjąć ryzyko. Jego mózg znów zaczął ściśle, logicznie rozumować. Strzępy zasłon powiewały na wietrze, pocięte na pasma przez ostre szczypcy. Miał w kieszeni zapalniczkę. Był tylko jeden sposób, by krab nie mógł podążyć za nim...

Mały płomyczek zasychał i liźnął materiał. Jedna z zasłon płonęła, po chwili druga, ogień buchnął do góry. Krab zasyczał wściekle, ale nie posunął się dalej.

McKechnie wszedł na szeroki parapet. Pod nim jaśniała szachownica dziedzińca.

Za nim huczały płomienie. Unoszący się dym zasłaniał widok. Skacząc w dół, uderzył o twarde podłoże. Beton zranił jego ciało, poczuł palący ból w prawej kostce. Leżał, ciężko dysząc. Zgubił gdzieś latarkę, ale i tak jej nie potrzebował. Wystarczało światło księżyca.

Próbował wstać, lecz przewrócił się ponownie, gdy poczuł ból w złamanej nodze. Chciał uciec, zanim kraby znajdą drogę prowadzącą na dziedziniec.

Trzaskały płomienie. Gęsty dym unosił się w górę. Lord spojrział na budynek. Gabinet płonął, tańczące płomienie wydobywały się przez okno.

Zaczął czołgać się po ziemi, ciągnąc za sobą nogę. Czuł straszny ból.

Pomyślał o krabie. Miał nadzieję, że zginął w pożarze. Było to jednak mało prawdopodobne.

Gdy McKechnie dotarł do końca dziedzińca, usłyszał klekot szczypiec i wściekły syk. Skulił się w cieniu. Bał się podnieść głowę. Wiedział, że jeśli krab go znajdzie, koniec będzie szybki.

Ziemia drżała. McKechnie leżał twarzą w dół, wstrzymując oddech. Serce biło mu dziko, w uszach huczało, ból nogi był nie do zniesienia.

Krab się zatrzymał. Serce lorda stanęło prawie, hałas w uszach ucichł. Pomyślał, że chyba umrze ze strachu.



- Klik - klik.

Potwór znów się poruszył, jego odnóża zgrzytały na betonie.

McKechnie uniósł głowę. Skorupiak oddalał się od płonącego hotelu.

Dym gęstniał, kłębamii unosił się nad budynkiem, zasłaniając wszystko. Lord czuł, że może się jeszcze uratować.

Dużo czasu zajęło mu dotarcie do górnego brzegu łąki, która potem opadała w dół, tworząc bagno Cranlarich. Często zatrzymywał się i długo odpoczywał. Był pewny, że noga jest złamana. W końcu położył się na miękkiej, wilgotnej trawie i odwrócił głowę, żeby patrzeć, jak ogień pożera jego dom. Płonął już cały budynek, ogień strzelał w niebo trzeszcząc i pryskając iskrami.

Kraby zwyciężyły. Wszystko, co przedsięwziął aby je zniszczyć, obróciło się przeciwko niemu. Ale ogień, na szczęście dla niego, oczyścił wszystko. Nie pozostawił żadnych ciał, śladów krwi, niczego, co mogłoby spowodować plotki. Będzie mógł wystawić rachunek towarzystwu ubezpieczeniowemu. Miał nadzieję, że Cranlarich można odbudować i nowe imperium powstanie z popiołów starego.

To była przyjemna myśl. Ale przerażało go to, że kraby wciąż były w jeziorze. Jak dotąd, wszyscy, którzy je widzieli, zginęli — z wyjątkiem jego samego. Prędzej czy później, ich istnienie zostanie odkryte. Nie mogą na zawsze pozostawać w ukryciu.

Optyzmizm McKechniego rozwiewał się. Zniknął zupełnie, gdy zobaczył głęboką bruzdę w trawie, jakby przejechał tędy traktor z pługiem.

Długa, nierówna koleina ciągnęła się w dół, aż do brzegu łąki, gdzie niknęła wśród skał. Kraby zostawiły głęboko odcisnięte ślady odnóży. Nie można się było pomylić, nie można ich przeoczyć — były dowodem ich istnienia. Na skalistych brzegach jeziora nie zostawiały

śladów. Ale tutaj...

Światło księżyca słabło. Lord spojrział w niebo. Z zachodu nadchodziły ciemne chmury. Poczul na twarzy pierwsze, wielkie krople deszczu. Czarna osłona nocy powoli bladła. Do Cranlarich było daleko.

— Co to?

John Ryland spał jeszcze, gdy Christine zaczęła szarpać go za ramię.

— Co jest? — wymamrotał, obejmując szczupłe, nagie ciało.

— Jakiś hałas. Jakiś huk, gdzieś daleko...

— Pewnie burza.

— Nie, to nie burza. Te odgłosy powtarzają się. Przed chwilą był piąty. Słyszałam.

Usiadł na łóżku. Światło księżyca przeświecało przez cienkie zasłony, oświetlając sypialnię na poddaszu.

— Dochodzą od strony majątku. — Nagle pożałowała, że obudziła kochanka. Wiedziała przecież, co zrobi.

Parę minut później usłyszeli następną stłumioną eksplozję.

— Masz rację. — Odrzucił prześcieradło. — Coś dziwnego się tam dzieje. Muszę iść zobaczyć.

— Och, proszę, John. Zostań tu ze mną. Przecież to nie twoja sprawa.

— Właśnie, że moja — odpowiedział, uwalniając się z jej uścisku. — Wszystko, co dotyczy McKechniego, dotyczy także i mnie. Może wreszcie dotrze do sedna tego wszystkiego.

— Skoro tak... Ale uważaj na siebie, John — prosiła, wiedząc, że na nic się to nie zda. To była cudowna noc, noc miłości. Dlaczego musiała się tak zakończyć? Zbyt wielu ludzi zginęło bez wieści i nikt nie interesował się ich losem. Tylko John Ryland. A jeśli i on zniknie... Bała się o tym myśleć. Przyjechał właśnie wtedy, gdy najbardziej go

potrzebowała. A teraz, po kilku dniach nie wyobrażała sobie życia bez niego. W nim wszystkie nadzieje i marzenia. Modliła się o to, by zająć w ciążę. Wtedy razem opuściliby tę dolinę na zawsze.

Usłyszała jego kroki na schodach, drzwi na dole otworzyły się i zamknęły cicho. Wcisnęła twarz w poduszkę i zaczęła płakać.

— O Boże, czy ten koszmar nigdy się nie skończy? — szlochała cicho.

John Ryland szedł szybko. Skręcił w las, gałęzie chłostały go po twarzy, pętały mu nogi. Po kilku minutach wyszedł na oświetloną księżycem przestrzeń. Jezioro wyglądało spokojnie, ale budziło lęk.

Stał jakiś czas na skraju lasu, wypatrując i nasłuchując. Zastanowiło go, co mogło wywołać te stłumione wybuchy. Nie znalazł jednak żadnego wyjaśnienia.

Myśl o Christine kusiła go do powrotu. Nic nie osiągnie stercząc tutaj. A Freddie Law zniknął sto jardów stąd. Gdyby wtedy była taka noc jak dziś, przejrzysta, bez mgły, Ryland z pewnością wiedziałby, co się z nim stało. Może nawet uratowałby starego kłusownika.

Usłyszał głosy. Zadrżał. Powtórzyły się. Z przeciwległego brzegu dochodziły jakieś szepty. Nagle zobaczył — jakieś pół mili stąd, dwie małe sylwetki. Zniknęły w gęstym lesie, który rósł wzdłuż brzegu.

Zdawało mu się, że rozpoznał ludzi lorda. Ryland był ciekaw, co tu robią, ale żeby sprawdzić musiał się dostać na drugi brzeg. Prócz przepłynięcia wpraw — co groziło pewną śmiercią — istniał tylko jeden sposób, żeby się tam dostać.

Długa droga wokół jeziora, przez las, którego nie znał, a potem przez łąkę. Powziął decyzję i ruszył.

W lesie panowały ciemności. Kilka razy ścieżki zaprowadziły go w zarośla, z których musiał się

wycofywać. Od czasu do czasu oświetlał sobie drogę latarką. Dopiero po paru minutach zorientował się, że powietrze wypełniał dziwny odgłos, jakby klekot, który trwał i trwał, to stawał się coraz głośniejszy, to nieco przycichał, by znów przybrać na sile. Nagle rozległy się dwa wystrzały. Jezu Chryste! — zaczął się przedzierać przez sięgającą do pasa trawę. Biegł na oślep, gdyż zdał sobie sprawę, że jest to klekot krabów.

Zdawało mu się, że minęła wieczność, zanim wydostał się z lasu. Gdy wyszedł na otwartą przestrzeń, rozejrzał się wokoło. Nigdzie nie zauważył żadnego ruchu. Ale klekotanie nie ustało, dochodziło z dala, po chwili dołączył do niego brzęk tłuczonego szkła, trzask drewna i łomot spadających kamieni, Hotel Cranlarich był doskonale widoczny w świetle księżyca. Widać było oświetlone okna. Po chwili Ryland usłyszał stłumione krzyki. Jezu, one zaatakowały hotel! — rzucił się pędem. Stopy zapadały się w miękkiej ziemi. Buty i skarpetki miał kompletnie mokre.

Droga była coraz cięższa z powodu gęstego błota. Gdy wyciągał jedną nogę, grzęzła druga. To było coś, czego nie przewidział.

Nagle prawa noga wpadła głębiej niż dotąd. Próbował ruszyć lewą, ale nawet nie drgnęła. Bagno bulgotało. Poczul, że zanurza się głębiej. Walczył, lecz bagno wciągało go bardzo szybko. Pamiętał ostrzeżenia Freddiego, żeby nigdy nie chodzić samemu na trzęsawisko.

Ziemia pod nim ruszała się. Stał zanurzony w bagnie po kolana. Ogarniała go panika, ale wiedział, że musi walczyć.

## Rozdział dziewiąty

John Ryland uświadomił sobie, że jeżeli nie zacznie szybko działać, będzie zgubiony. Mógł krzyczeć, ale wiedział, że i tak nikt nie przybyłby mu na pomoc. Zresztą w ten sposób mógłby ściągnąć na siebie uwagę krabów.

Przypomniawszy sobie, co powiedział mu Wildfower, który znalazł się kiedyś w podobnych tarapatach na bagnach Solway. Facet wszedł w trzęsawisko od strony Nith i siedział w nim trzy godziny. Położył się płasko na plecach, w ten sposób oparł się ssącej sile bagna i powoli wyczołgał na twardej gruntu.

Ryland odchylił się do tyłu, leżał teraz płasko z uniesionymi kolanami. Błoto było miękkie i zimne. Zastanawiał się, czy ten sposób okaże się skuteczny. Przez moment czuł się tak samo uwięziony jak przedtem, ale wiedział, że wszystko wymaga czasu. Być może tylko odwlekał koniec, ale wierzył w słowa starego człowieka, bo były one dlań w tej chwili jedyną nadzieją ratunku. Miał więc nadzieję i modlił się.

Hałas od strony hotelu Cranlarich stopniowo ucichł. Od czasu do czasu tylko słyszał trzaski, ale krzyki nie powtórzyły się. Zadrzał. Zastanawiał się, co stało się z ludźmi, z lordem.

Nie miał pojęcia, która może być godzina. chmury przysłoniły księżyc i nie mógł już odróżnić w ciemności bryły budynku. Światła w hotelu zgasły.

Czuł, że jego stopa przesunęła się o cal, może dwa, nie więcej.

Znów rozległo się klekotanie. Dźwięk był coraz głośniejszy. Kraby wracały. Słyszał, jak postępowały naprzód. Przeszły kilkaset jardów od niego. Czy to możliwe, że świadome niebezpieczeństwa celowo ominęły bagno?

Powoli uwalniał nogi, bagno stopniowo rozluźniało uścisk.

Ciszę przerwał gwałtowny trzask, huk walących się konstrukcji.

John Ryland uniósł głowę. Hotel Cranlarich płonął, a płomienie sięgały wysoko w niebo, barwiąc obłoki na pomarańczowo. Czuł ostry i duszący zapach dymu.

Zastanawiał się, dlaczego hotel zaczął płonąć, czy było to związane z atakiem krabów.

Jedno wiedział na pewno — te stwory istnieją. Musiał teraz uciekać z bagna, jego stopy były już prawie wolne.

Wyciągnął obłocone nogi ze ssącego mułu, który wydał z siebie ostatni bulgot, niczym pomruk niezadowolenia, że stracił ofiarę. Ryland odetchnął z ulgą. Zaczął się czołgać, odpychając łokciami i piętami. Dzielilo go dwadzieścia jardów od brzegu.

Stanął na twardym gruncie — był uratowany.

Nie zamierzał więcej tamtędy chodzić, nawet w dzień. Postanowił wrócić do Cranlarich okrężną drogą, wiodącą prosto na północ.

Obrócił się w kierunku płonącego hotelu, wyglądał jak straszny, olbrzymi stos pogrzebowy — masa płomieni i pryskających iskier. Ciekaw był, czy ktoś ze wsi widzi pożar.

Zaczęło padać. Ryland uśmiechnął się. Był już tak przemoczony, że nie sprawiało mu to różnicy.

Zastanawiał się, czy ma wrócić do wsi, czy pójść do hotelu. Wiedział, że Christine się o niego martwi. Ale z drugiej strony, skoro doszedł już tak daleko i stawiał czoła tylu niebezpieczeństwom, które niosła za sobą noc, chciał wszystko zobaczyć dokładnie. Miał zamiar obejrzeć dymiące szczątki hotelu Cranlarich.

Ruszył. Wolał iść brzegiem lasu, niż krótszą drogą przez smolście czarne błota. Potykał się o przewrócone pniaki i splątane łodygi. Wciąż padało, ulewa wzmagała się.

Szedł teraz wijącą się drogą; ogień pożaru przyświecał mu, błoto sięgało kostek, wszystkie wyboje wypełniała woda.

Nagle zatrzymał się. Strach chwycił go za gardło, instynkt podpowiadał ucieczkę. Spozrzegł, że coś się przed nim rusza, zdąża ku niemu, nie mógł jednak tego rozpoznać.

Cofnął się trochę. Kolejny pióropusz iskier oświetlił noc.

Odetchnął z niewypowiedzianą ulgą.

— Kto... kto to? — zawołał.

— McKechnie — dobiegł go chrapliwy, łamiący się głos. — A kim ty, u diabła, jesteś?

— Ryland.

Człowiek leżący na ziemi, westchnął głęboko.

— Czego do cholery, szukasz na mojej ziemi?

— Sądząc po pańskim wyglądzie, chyba dobrze, że tu jestem. — John Ryland skierował na McKechniego snop światła. — Co się panu stało?

— Wybuchł pożar... Musiałem wyskoczyć przez okno gabinetu.

— Gdzie podziła się pańska służba?

— Nie wiem... chyba spłonęli... to stało się tak szybko...

— Dobra, teraz musimy jakoś dostać się do wsi.

— Dam sobie radę.

— Niech się pan nie wyglupia. — Ryland chwycił lorda i postawił go na nogi. — Niech się pan na mnie oprze i nic nie mówi. Będzie ciężko, no i ten deszcz nie ułatwia drogi. Ale miejmy nadzieję, że nie spotkamy żadnych krabów.

— Niech pan nie opowiada bzdur.

— Tym razem pan nie zaprzeczy, McKech-



nie. Wyszły z jeziora i z jakichś nieznanych mi powodów zniszczyły pański dom.

— Widział je pan? — lord skrzywił się szczerzo.

— Nie, ale je słyszałem. Słyszałem ich klekot.

— To żaden dowód. Ja niczego nie widziałem.

Ryland wstrzymał się z odpowiedzią. Bruce McKechnie był wyraźnie zdecydowany, nawet teraz, zaprzeczać istnieniu wielkich stworów. Nie było sensu przekonywać go tutaj, w ulewnym deszczu. Założył sobie ramię lorda na szyję, drugą ręką chwycił go w pasie. Ruszyli w kierunku wsi.

Gdy weszli w główną drogę Cranlarich, właśnie zaczynało świtać. Na niebie wisiały niskie, ciemne chmury. Po lewej stronie stał kamienny Royal Stag. W jednym z okien na poddaszu paliło się światło. Był to pokój Christine.

— Nie pójde tam. — McKechnie zaczął się szarpać.

— Daj pan spokój, nie ma innego miejsca, gdzie mógłby pan iść. Musi pan. Jest pan w takim stanie, że w ogóle nie powinien pan dyskutować.

Gdy weszli po schodach, drzwi otworzyły się. Stała za nimi Christine Blacklaw, ubrana w sweter i dzinsy. Na jej twarzy widniał niepokój. Gdy spojrzała na lorda, rysy jej stężały.

— John — obróciła się do Rylanda. — Tak się martwiłam. Nic ci się nie stało?

— Nie, kochanie. — Uśmiechnął się uspokajająco i pocałował ją. — Drobne kłopoty...

— Jesteś przemoczony... a... a co się stało. i. jemu?

— Złamał sobie nogę skacząc z okna. Uciekał przed ogniem... kraby zniszczyły hotel.

— Jesteście obłąkani, oboje! — krzyknął histerycznie McKechnie. Oparł się plecami o ścianę, niezdolny do jakiegokolwiek ruchu.

— Przede wszystkim, musimy się pana stąd pozbyć — warknął Ryland. — Będziemy mieli przynajmniej czyste sumienie, choć nie gwarantuję, co stanie się z panem po tym wszystkim. Myślę też, że już czas, żeby skontaktować się z policją i powiedzieć im wszystko, co wiemy.

Lord przeszył ich pełnym nienawiści wzrokiem, ale nic nie powiedział.

— Zadzwońię po lekarza. — Christine weszła do domu. — Pan McKechnie zrobi, co uzna za stosowne. Może wejść do środka, albo zostać tam, za drzwiami.

Bruce McKechnie siedział na posterunku policji w Dumfries z miną pełną wymuszonej wyrozumiałości. Obok jego krzesła stała laska, a zraniona noga była zabandażowana. Nie stwierdzono złamania, jedynie silne zwichnięcie. Lekarz zalecił mu kilka dni leżenia.

Nadinspektor Broomhall westchnął i podniósł wzrok znad leżącej na biurku sterty papierów.

— To rzeczywiście bardzo dziwna sprawa. —

Przyglądał się lordowi badawczo. — Mamy w tej chwili osiem zaginionych osób. Najpierw dwóch gości pańskiego hotelu: Ryland i Barrett, a także kłusownik Law. Cały pański personel: leśniczy, Canvers i trzy służące.

— Moja służba zginęła w płomieniach — szorstko przerwał McKechnie. — Cały dom uległ zniszczeniu, spłonął doszczętnie razem ze wszystkim i wszystkimi, którzy tam byli.

— Nie. — Policjant wolno potrząsnął głową, uważniej przyglądając się mężczyźnie po drugiej stronie biurka. — Mogę pana zapewnić, że pański personel nie zginął w płomieniach. Nawet po największym pożarze można odnaleźć popioły zmarłych. Oni nie zginęli w płomieniach, panie McKechnie...

— Musieli... no dobrze, więc gdzie są?

— Właśnie tego musimy się dowiedzieć. W tej chwili traktujemy ich jako zaginionych. Sprawdzamy wszystkie ślady, ale nie ma ich zbyt wiele. Ogień dokładnie wszystko zniszczył.

Lord poczuł lekką ulgę.

— Proszę mi powiedzieć, dokąd udał się pański poprzedni leśniczy, kiedy zwolnił pan go z pracy?

— Nie mam najmniejszego pojęcia. Wypłaciłem mu pensję, oddałem papiery i wyjechał.

— Rozumiem. — Broomhall zmarszczył brwi. — A propos, przesłuchiwałem pana Rylanda, brata jednego z zaginionych. Mówił, że... hm... że coś jest w Loch Merse.

— On jest szalony — warknął McKechnie.

— Na pana miejscu nie zwracałbym uwagi na to, co mówi.

— W moim zawodzie — odpowiedział bez namysłu nadinspektor — trzeba zwracać uwagę na każde słowo.

— Ale on ma obsesję krabów — olbrzymów. Sam przyznaje, że ich nie widział. Ale je słyszał. — McKechnie uśmiechnął się szyderczo.

— Hm, no cóż, przyznaję, że to dość nieprawdopodobna historia. Nasi nurkowie przeszukali Loch Merse bardzo dokładnie. Niewątpliwie będę musiał przesłuchać pana raz jeszcze. Wdzięczny będę za informację, gdzie zamierza pan zamieszkać teraz, gdy hotel Cranlarich spłonął?

— Skoro to konieczne — wymamrotał lord.  
— Nie mam zbyt wielu możliwości. Na krawędzi wrzosowiska jest chata, w której podajemy gościom lunch. Da się tam mieszkać; pobędę tam, dopóki nie zacznę odbudowy hotelu.

Policjant skinął głową i wskazał lordowi drogę do wyjścia.

— Czy zna pan człowieka nazwiskiem Sandy Cline?

— Jest moim pracownikiem. — McKechnie zmarł. — Kiedyś hodował owce, teraz zrezygnował z tego i żyje w odosobnieniu. Pomaga doglądać wrzosowisk. Czemu pan pyta?

— Wedle Johna Rylanda, ten człowiek, Cline, też widział wielkie kraby.

— To bzdura!

— Być może. Ale nie możemy niczego przeczytać, McKechnie. Inspektor Page pojechał go przesłuchać.

Inspektor Page zaparkował wóz przy ziejących czernią zgłiszczach hotelu Cranlarich. Policja wciąż krążyła po rumowisku, zbierając próbki popiołu, sprawdzając zachowane kawałki muru, przeszukując teren w promieniu kilku setek jardów.

Deszcz, który lał przez ostatnie dwa dni, teraz przeszedł w gęstą mżawkę. Zapowiadano dalsze opady.

Page podążał ostrożnie błotnistą drogą, omijając głębokie kałuże. Po lewej stronie, na łące ciągnącej się w dół aż do jeziora, zauważył kilka bruzd, jakby usiłowano tam orać, po czym zaniechano tego zamiaru. Nierówne koleiny wypełnione były wodą. Policjant zauważył je przechodząc, ale po chwili przestał się nimi interesować.

W kwadrans później dotarł do chaty, której szukał. Sterta świeżo narąbanego drewna leżała obok frontowych drzwi, ale z komina nie leciał dym. Zasłony były jeszcze zasunięte.

Mżawka wzmogła się, zaczął padać regularny deszcz. Przecież na pewno ten stary człowiek nie wyszedł z domu w taką pogodę. Page'owi nie uśmiechała się perspektywa łożenia po wzgórzach w poszukiwaniu owczarza. Nie był też zachwycony, że musi czekać tyle czasu pod drzwiami. Nacisnął klamkę. Drzwi nie były zamknięte, skrzypiąc uchyliły się na parę cali. Pchnął je i zajrzał do środka.

Duży pokój był pogrążony w mroku, tak że trudno było rozpoznać sprzęty. Wzruszył ramionami i przekroczył próg. W środku unosiła się woń stęchlizny, powietrze było wilgotne. Nagle poczuł jakiś mdły zapach i stanął w miejscu. O- dór wydawał mu się znajomy, ale rozpoznanie go zajęło mu parę sekund. Znieruchomiał, po czym wzdrygnął się — był to zapach śmierci.

Wszedł do przyległego pokoju. Tu woń była silniejsza, przyprawiała o mdłości. W kącie stało łóżko. Na nim leżało nieruchome ciało, na pół przykryte kocem.

Page spojrział na bladą twarz Sandy'ego Cline'a. Oczy martwego starca były zamknięte, wyglądał jakby spał.

Inspektor odwrócił się i wyszedł na zewnątrz. Cokolwiek wiedział Sandy Cline, zabrał to ze sobą do grobu. Ale przynajmniej owczarz nie zniknął z powierzchni ziemi.

Don Phinney **pracował** w magazynie „Record”, od początku swej dziennikarskiej kariery. Nawet teraz, gdy skończył 50 lat, posiwał i poważnie przybrał na wadze, nie stracił zamiłowania do sensacji. Jego banalny wygląd — luźny prochowiec i filcowy kapelusz z szerokim rondem — był mylący. Phinney nie wyglądał na człowieka

pasjonującego się niezwykle historiami i pisującego frapujące artykuły, a takim właśnie był.

Odginając rondo kapelusza, przeniósł wzrok z zasnutego mgłą Loch Merse, na stojącego obok młodego człowieka.

— Tak, to z pewnością bardzo interesująca historia, panie Ryland. — Gdy mówił, papieros podskakiwał mu w kąciku ust. — Ale rodzi się pytanie: w jakiej formie to zaprezentować i jak daleko można się posunąć? Ten człowiek, Cline, zmarł śmiercią naturalną. Być może mógłby nam coś powiedzieć. A może i nie. Nigdy się tego nie dowiemy. Wiemy tylko, że kilka osób rozplynęło się w powietrzu — a to już wystarczy, żeby zrobić tytuł na pierwszej stronie.

— Ale kraby — upierał się John Rylan. — Wiem, że istnieją.

— Przecież ich pan nie widział.

— Ale słyszałem. Freddie Law widział jednego, a Sandy Cline kilka.

— Jeden nie żyje, drugi zaginął. żadnych namacalnych dowodów.

— A ślady odnóży?

— To już coś, oczywiście. Ale nie ma sposobu, żeby je zidentyfikować po kilku dniach ulewnego deszczu.

— Mówiłem już panu — słyszałem je w nocy! Klekotanie było niemal ogłuszające. Ktoś strzelił kilka razy, prawdopodobnie Joe Kinlet. Ale go dopadły, tak jak dopadły mojego brata, Paula Barretta i wszystkich innych. Są tutaj, mówię panu!

— Okay, okay. — Phinney zapalił kolejnego papierosa i wypuścił z ust niebieski obłok dymu.

— Nie będę z panem dyskutował. Coś tu jest, to prawda. Ale dlaczego kraby? Weź pan potwora z Loch Ness. Ktoś zobaczył parę zmarszczek na wodzie i od razu

tłumy ludzi walą oglądać potwora. Przypuśćmy, ale tylko przypuśćmy, że Loch Merse i Loch Ness mają podwodne połączenie z morzem, i że Nessie postanowił zmienić locum...

— Ależ to bzdura.

— Nie większa niż te pańskie kraby.

— Powiedzmy sobie szczerze, Phinney, numer z Nessie sprzedaje się po prostu lepiej niż jakieś tam kraby.

— Tego nie powiedziałem.

— Ale to prawda, to widać jak na dłoni. Oczywiście, napisze pan, co zechce, ale ja udowodnię panu, że mówię prawdę.

W niespełna 24 godziny później, „Record” wydrukował na pierwszej stronie specjalny artykuł Dona Phinneya.

„Nessie wędruje do Loch Merse. Czy to on jest odpowiedzialny za zaginięcia ludzi?”

Inne dzienniki również podjęły temat.

„Imperium łowieckie zniszczone. Czy jest to wina potwora z Loch Merse?”

John Ryland czytał artykuł siedząc w zatłoczonym barze w Royal Stag. Christine stała za barem, śpiesznie obsługując klientów. Już nie mogła wylegiwać się do południa. Nagle okazało się, że Cranlarich jest pępkiem świata. Na drogach stały korki długie na kilka mil, krętą szosą od Gretny aż do Cranlarich, pędziły samochody z przyczepami kempingowymi i sprzętem do biwakowania. Dolina również była przepełniona; wokół jeziora stały, pomimo złej pogody, liczne namioty.

— Cholerny idiota! — rzekł głośno John Ryland, skończywszy czytać mętne spekulacje. Zmiał gazetę i zdegustowany, rzucił ją do kosza.

— Kto? — Christine podniosła wzrok znad baru. —



McKechnie?

— Nie. Phinney. To stek bzdur.

— No i co z tego? Zrobił to dla pieniędzy. A McKechnie dostanie przy okazji małą nauczkę. Ani my, ani policja nie da rady wyrzucić z posiadłości tych dziesięciu tysięcy turystów.

— Nie o tym myślę. — Zapalił papierosa. — Martwi mnie to, że ludzie są w niebezpieczeństwie. Do diabła, gdybym próbował powiedzieć im prawdę, ostrzec ich, wyśmialiby mnie. Przypuśćmy, że kraby wyjdą nocą z jeziora. Przecież zmasakrują tysiące ludzi. Zrozum, turyści nie będą mieli szans! Jeszcze nie widzieliśmy najgorszego, to pewnie dopiero nastąpi!

Christine Blacklaw zbladła. Wiedziała, że John ma rację. Loch Merse było przerażającą, śmiertelną pułapką, ludzie przynętami, a tuż obok czały się skorupiaki, czekając tylko, żeby urządzić sobie krwawą ucztę.

## Rozdział dziesiąty

Bruce McKechnie przechadzał się wśród tłumów, przybyłych na Loch Merse. Przebrany był w poszarpane, robocze łachy — nie chciał, żeby go rozpoznano. Przeklinał pod nosem wszystkich i wszystko. Kostka go jeszcze bolała i chodząc, opierał się na lasce.

Niebo było czyste, ale w powietrzu czuło się chłód. Zeszłej nocy chwycił ostry mróz, ale jakoś nikogo nie wypłoszył. Wręcz przeciwnie, entuzjazm przybyszy zdawał się rosnąć. Słyszał było gwar rozmów, ludzie gromadzili

się w grupki u brzegu jeziora.

Jakieś 150 jardów od brzegu, stała zacumowana duża motorówka. Z tyłu, nad rufą wystawał automatyczny wyciąg, a do niego, na dłuższej linie umocowany był stalowy przedmiot wielkości małego samochodu. Burty łodzi były tak wysokie, że dwaj mężczyźni siedzący w środku pozostawali niewidoczni. Był to batyskaf, przywieziony tu wczoraj z Londynu. Poszukiwania potwora z Loch Merse rozkręciły się niewiarygodnie szybko.

Lord zapalił cygaro. Zastanawiał się, czemu skorupiaki nie pokazały się od czasu ataku na hotel. Minęło już dwa i pół tygodnia. Na pewno nie miała na to żadnego wpływu ilość ludzi. Czytał kiedyś, że życie krabów reguluje księżyc. Gdy wyszły tłumnie na brzeg, była pełnia. Następną będzie za 10 dni.

Być może skorupiaki nie lubiły zimna. Zaświtała w jego głowie nieśmiała nadzieja, że tak właśnie jest, że ostatnie ochłodzenie skłoniło je do wycofania się w morze, gdzie było cieplej.

Spodziewał się, że jeżeli batyskaf zostanie spuszczonej w głąb jeziora i z pewnością przeszuka je dokładniej niż płetwonurkowie, to kraby na pewno zostaną odkryte... Nawet, jeśli poszukiwacze nie wrócą, by powiedzieć, co ujrzeli.

Pomyślał o swej przyszłości. Jako imperium myśliwskie Cranlarich było skończone. Cała ta sytuacja mogłaby przynieść mu korzyści, gdyby został ostrzeżony i miał czas się przygotować. Dziesięć tysięcy ludzi musiałoby zapłacić za biwakowanie i oglądanie monstrualnych krabów. Ale było już za późno. Byli tu i w żaden sposób nie można ich było stąd wyrzucić.

Na stoiskach z zakąskami i napojami nie zrobi fortuny; poza tym nie mógł im zaoferować nic, prócz niewygody. Jeśli kraby się nie pokażą, wszystko szybko wróci do

normy, a te tłumy wyjadą. Ludzie znudzą się szybko, ich ciekawość pozbawiona pożywki wypali się i wrócą spokojnie do domu. Chciał się na to przygotować i pozbierać opłaty za wjazd. Była to idealna sytuacja dla kogoś, kto wiedział, jak szybko zbić majątek.

Nienawidził Johna Rylanda tak, jak jeszcze nikogo w życiu. Gdy tak stał, patrząc na to wszystko, jego wściekłość ponownie sięgnęła zenitu. Musiał zemścić się na człowieku odpowiedzialnym za to wszystko. Rozwagał **możliwości** zlikwidowania Rylanda. Było ich sporo, ale miał nadzieję, że kraby zrobią to za niego.

John Ryland obejmując Christine patrzył, jak batyskaf znika w wodzie. Widok przypominał jakiś dziwny pogrzeb: okrągła, stalowa trumna, a w niej dwóch ludzi spuszcanych do podwodnego grobu.

— To straszne — szepnęła Christine. — Jeśli te kraby naprawdę tam są...

— Może odpląnęły — odrzekł Ryland. — Nikt ich nie widział od tamtej nocy. Nie mogę uwierzyć, że naprawdę wróciły do morza. Na pewno leżą na dnie. Czekają... no właśnie, na co?

Batyskaf był już na dole, lina naprężyła się. Łódź stała dokładnie w najgłębszym miejscu Loch Merse. Niektórzy mówili, że właśnie tu zaczyna się tunel, ale nikt naprawdę tego nie wiedział. Być może dwaj badacze odkryją odwieczną tajemnicę?

Niektórzy z widzów mieli lornetki. Widać było ekipę z aparatami wszelkiej maści, wpatrującą się w wody jeziora. Przez tłum przeszedł szmer.

To był punkt kulminacyjny polowania na potwora z Loch Merse. Niektórzy byli rozczarowani, bo z daleka niewiele mogli zobaczyć. Wszyscy mieli nadzieję, że ci dwaj mężczyźni, którzy zstąpili w głębinę, przyniosą rozwiązanie zagadki. Czy potwór będzie tak samo nieuchwytny, jak ten z

Loch Ness? Czy to ten sam olbrzymi gad, którego kiedyś widziano? Prasa twierdziła, że tak. Czy to on odpowiada za zniknięcie ludzi? Jeśli tak, lepiej trzymać się z daleka.

Ludzie zaczęli odsuwać się od brzegu, jakby spodziewali się, że potwór nagle wynurzy się z jeziora. Inni, odważniejsi, przesuwali się bliżej.

Ryland rozejrzał się. Jakieś dziecko płakało, ale jego matka nie zwracała na to uwagi. Ktoś krzyknął na nie, żeby się uciszyło. Napięcie wzrosło.

McKechnie zapalił trzecie cygaro. Po raz pierwszy w życiu zmieszał się z tłumem i dzielił jego uczucia. Nienawidził siebie za to, że chciał oglądać to sam, na własnej ziemi i kierować akcją. W tej chwili był nikim, jednym z nich, częścią bezrozumnego tłumu, którym zawsze pogardzał.

Czas mijał. Nic się nie działo. Próbowano nawiązać łączność radiową z nurkami.

Słońce zaczęło opadać za Criffel. Było pomarańczowe, co wróżyło ostry mróz tej nocy. Nikogo to jednak nie obchodziło. Wszyscy oczekiwali czegoś niezwykłego. Batyskaf nie mógł pozostać pod wodą po zapadnięciu ciemności. Jego czas dobiegał końca — została jeszcze godzina dnia.

— Coś się stało. — Christine ścisnęła Rylanda za ramię. — Spójrz... tam!

W pobliżu łodzi woda zawirowała, dziób kołysał się to w górę, to w dół. Mężczyźni na pokładzie uruchomili automatyczny wyciąg, stalowa lina nawijała się na wał, terkocząc i trzeszcząc. Ze spienionej wody wynurzył się jakiś kształt...

Kilka kobiet pisnęło. Pozostali wpatrywali się w obiekt z otwartymi ustami, zapadła nagle cisza.

Woda rozprysnęła się i po chwili wynurzył się stalowy przedmiot. Promienie zachodzącego słońca połyskiwały na

metalowej powierzchni.

Tłum ruszył naprzód, niektórzy wchodzili do wody. Mężczyźni stali zanurzeni po kolana, jak kibice na meczu, którzy wkroczyli na boisko, próbując dotknąć swoich bohaterów.

Nurkowie wyszli już z batyskafu.

Pokład opustoszał. Wszyscy zeszli na dół.

— No i co o tym sądzisz? — spytała nerwowo Christine Blacklaw.

— Nic. Nic w ogóle. — Ryland potrząsnął głową. — Wszystko zostało ustalone przez załogę i nurków przez radio, zanim się wynurzyli. Po ja- kim czasie ogłoszą komunikat, prawdopodobnie przez radio i TV. Jedno jest pewne: nie spotkali krabów. Chodźmy stąd, mam nadzieję, że jakoś się przećśniemy przez tę bandę idiotów.

W Cranlarich odbiór radiowy i telewizyjny był słaby; góry zasłaniały drogę falom, odcinały dolinę od świata. Głos spikera był ledwo słyszalny, wśród niezliczonych trzasków i gwizdów.

„Tego popołudnia... w Szkocji... spuszczone batyskaf... szukano potwora... dwie i pół godziny... nic nie znaleziono... tłumy... już... opuszczają... korek kończy się dopiero w Gretnie. Jeśli... rzeczywiście to był Nessie... należy sądzić... że wrócił na swoje poprzednie miejsce”.

Bruce McKechnie wyłączył radio, stojące na parapecie okna. Spojrzał na swoje odbicie na obryzganej deszczem szybie i zaśmiał się głośno.

— Cholerni głupcy — wymamrotał. — Dobrze im tak! Bóg jeden wie, gdzie są te kraby.

Po trzech dniach na terenie Cranlarich została już tylko mała garstka ludzi. Zrobiło się bardzo zimno, padał deszcz ze śniegiem. Każdego ranka nowa partia samochodów wyjeżdżała błotnistą, wąską drogą. Kierowcy zawiedzeni, klęli na czym świat stoi. Byli pewni, że to mistyfikacja i że

ktoś ich nieźle nabrał.

Martin Bryant czytał o zdarzeniach nad Loch Merse w Hiszpanii. Gazety docierały z dwutygodniowym opóźnieniem. Do tej pory wszystko mogło się zdarzyć. Poszukiwania mogły się już zakończyć: potwór został odnaleziony i sfotografowany.

Zaklął, po czym przygryzł wargi, co znaczyło, że podejmuje trudną decyzję. Miał pecha. Tyle wypraw nad Loch Ness — i nic, a teraz, gdy musiał wyjechać za granicę w interesach, coś się zaczęło dziać.

Był wysoki i szczupły, i nawet szyte na miarę garnitury, wisiały na nim jak na kołku. Grube szkła i łysawa głowa wskazywały, że dawno przekroczył czterdziestkę. Świetna praca, wysokie zarobki, częste podróże za granicę nie znaczyły dla niego nic, gdy pomyślał, że mógłby się spotkać oko w oko z legendarnym Nessie. To była ambicja jego życia, a teraz czuł, że traci, jedyną byćmoże, szansę. Wstał od stołu i udał się w kierunku kabin telefonicznych.

Musiał czekać parę minut, zanim jedna z nich się zwolniła. Wydawało mu się, że trwało to godziny. Wymamrotał obelgę pod adresem jegomościa, który wyszedł z kabiny i przytrzymał mu drzwi. Ręce drżały mu tak bardzo, że wypuścił monety na podłogę. Napięcie rosło. Chciał krzyknąć z radości, gdy usłyszał wreszcie głos szefa w słuchawce. Bryant kłamał. Ale przekonał go, to najważniejsze. Twierdził, że musi jechać do Glasgow i załatwić wielką transakcję na trzy miliony funtów, i że potrzebuje trochę czasu.

Pot spływał mu po twarzy. Wszystko poszło dobrze. Zarezerwował więc miejsce w samolocie.

Koszula przylepiła mu się do pleców. Wykręcił numer do Ronalda Tappera w Birmingham. Nikt nie odbierał.

Bryant przeklinał głośno, podrzucił na zmianę półpensówkę i trzy pesety, aż obie spadły na ziemię. W końcu ktoś podniósł słuchawkę. Odebrała żona Tappera. — Przykro mi, ale Ron wyjechał. — Jest w Szkocji? — Tak. — Masz jakieś wieści? — Nie, nic. Chyba pół Brytanii tam pojechało. — Świetnie, ja też tam jadę.

Jeszcze tego samego dnia wylądował na Heathrow. Szybko wsiadł w samochód i westchnął z ulgą, gdy znalazł się na drodze wiodącej na północ. Włączył radio. O pełnej godzinie będą wiadomości. Nie obchodziły go notowania. Nie obchodziły go wiosenne wybory. Usłyszał, że tłumy wciąż tam są, ale nikt nic nie widział. Dla niego brak wiadomości, był dobrą wiadomością.

Na trasie M6 zaczął tworzyć się korek, więc wybrał drogę przez jeziora. W Ambleside stał długo. Z powodu robót drogowych nadłożył kawał drogi.

Znów podawano wiadomości. Batyskaf był już na lądzie. Nic nie stwierdzono. Eksperci nie znaleźli potwora. Faceci z batyskafu byli już w drodze do domu. Reszta wyjedzie jutro. Jego szanse rosły. samochody przed nim zawracały na parkingach jechały z powrotem. Wcześniej rezygnowali.

Bryant wiedział, że to już niedaleko, i że za parę godzin będzie w Cranlarich. Sprawdził swój ekwipunek: lornetka z noktowizorem, teleskop, kamery.

W Royal Stag były wolne miejsca. Zarezerwował pokój; powiedział zgrabnej, ciemnowłosej dziewczynie, że jest ornitologiem. Wiedział, że mu nie uwierzyła. Facet, który jej pomagał za barem przyglądał mu się podejrzliwie.

Bryant zjadł lunch i wyszedł obejrzeć teren. Jezioro wyglądało spokojnie. Łódź motorową z batyskafem już odtransportowano. Tylko parę namiotów zostało na przeciwległym brzegu. Ostatnie przyczepy kempingowe właśnie odjeżdżały. Prawdopodobnie ci, którzy jeszcze

zostali, będą chcieli uciec stąd jak najprędzej.

Przez jego ciało przeszedł dreszcz. Polowanie się zaczęło.

Zbliżała się pełnia. Wiedział, że najłatwiej zobaczyć potwora nocą, gdy jest cicho i spokojnie, a nie za dnia, kiedy las wokół jeziora roi się od podejrzanych idiotów. Pomyślał, że najlepszym miejscem obserwacji będzie przeciwległy brzeg. Droga zdawała się skręcać jak podkowa, po-

czym biegła już prosto do ruin budynku stojącego u stóp gór.

Pomyślał, że przecież Nessie nie mógł tego zrobić. Chyba jednak posunęli się w swej imagacji trochę za daleko. Bardziej prawdopodobne wydawało mu się, że facet, który tu mieszkał, sam to podpalił, żeby dostać pieniądze z ubezpieczenia, a potem dał nogę za granicę. Pewnie do Hiszpanii, gdyż oszuści najczęściej wybierają Hiszpanię.

Martin Bryant czuł się wysoce usatysfakcjonowany popołudniowym rekonesansem. Niebo było zupełnie czyste, ani jednej chmurki w zasięgu wzroku. Chciał znaleźć jakieś odpowiednie, zaciszne miejsce na drodze i obserwować jezioro z samochodu. Nie traktował poważnie plotek o zaginionych. Mnóstwo ludzi miało powody, żeby zniknąć.

Wrócił do swojego pokoju i położył się na łóżku. Miał jeszcze parę godzin. Potrzebował wypoczynku, ale sen nie przychodził.

Przypomniał sobie, jak jechał z rodzicami raz pierwszy na wakacje nad morzem.

Czuł się wtedy dokładnie tak samo: nie mógł spać, tak był przejęty wycieczką. Aż wreszcie zasnął i obudził się dopiero, gdy byli już na miejscu.



Żeby zobaczyć morze, musiał poczekać do następnego dnia. Tym razem nie mógł zaspać.

Zastanawiał się, dlaczego dziewczyna i jej przyjaciel przyglądali mu się ukradkiem podczas obiadu. Nie powiedział im, po co tu przyjechał, nie chciał zwracać na siebie uwagi.

Była dziesiąta, gdy wyszedł z baru. Poszedł do pokoju, założył gruby sweter i dzinsy, i znów znalazł się na schodach. Z baru dobiegały odgłosy rozmów i śmiechy. Zajrzał tam. Stary właściciel hotelu obsługiwał gości. Nie było śladu po tamtych dwojgu. Zachichotał cicho. Pomyślał, że pieprzą się w którymś z pokojów.

Wycofał samochód. Był spięty i podekscytowany. Skrzynia biegów zazgrzytała, silnik zgasł. Światła oświetliły pustą drogę, w oknach kilku chałup we wsi paliły się świece. Większość mieszkańców Cranlarich poszła już spać. Tłumy przybyszów odjechały. Życie powracało do normy.

Wyjechał ze wsi, tu droga była prosta. Przycisnął pedał gazu.

Szosa skręcała ostro w stronę posiadłości. Nie zauważył tego. Zapiszczały hamulce, wóz wpadł w poślizg, zjechał na trawę i zatrzymał się gwałtownie.

Bryant zwolnił, nie przekraczał prędkości trzydziestu mil na godzinę. Droga zaczynała się wspinać, stawała się coraz bardziej nierówna, usiana dziurami. Daleko, spomiędzy drzew wyła-

niał się księżyc, rzucając migotliwe błyski na oszronioną trawę. Bryant wyłączył długie światła — były zbyt jasne; pozostawiając tylko światła mijania.

Zjeżdżał stromą szosą w dół. Zrobiło się ciemno. Znow przełączył światła — silny strumień rozjaśniał drogę przed nim.

Nagle ujrzał jakiś poruszający się kształt. Coś stało na środku drogi! Rozległ się pisk opon. Pomyślał, że to zabłąkana krowa. zahamował na jard przed stworzeniem.

— O, Jezu Chryste! — wykrzyknął.

Nie mógł się pomylić: to był nadnaturalnej wielkości krab.

Patrzył na niego. Bryant wrzucił wsteczny bieg, ale silnik tylko zawył.

Uderzenie w tył samochodu rzuciło go na kierownicę. Odwrócił głowę. Para oczu wpatrywała się weń przez tylną szybę. Błyszczące, czerwone punkciki przewiercały ciemność. Cokolwiek to było, został unieruchomiony. Z cienia zaczęły wychodzić jakieś stwory. Posuwały się ociężale, sycząc i klekocząc przy każdym ruchu. Metal zazgrzytał, szkło posypało się do środka wozu. Przez przednie okno wsunęły wielkie szczypcy, tnąc na oślep.

Martin Bryant krzyknął przerażony i zsunął się na podłogę.

- Klik - klik.

Szczypcy zatrzasnęły się w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą była jego głowa. Skorupiak zasyczał wściekle.

Bryant drżał ze strachu. Nic nie mógł zrobić. Nie mógł ruszyć się. Próbował włączyć silnik, ale tablica rozdzielcza była roztrzaskana. Próbował zjechać w dół.

Wóz ruszył, tocząc się od jednej krawędzi drogi do drugiej. Drzwi wyrzuciły się. Szkło wpadło do środka. Samochód jechał, jakby coś go ciągnęło; podskakiwał, skręcał to w lewo, to w prawo, obracał się. Martin Bryant z desperacją pociągnął za ręczny hamulec. Wóz zahamował tak gwałtownie, że przewrócił się do góry kołami.

Martin Bryant leżał na suficie. Uderzenie zaparło mu dech w piersiach. Wszędzie było pełno szkła. Coś ciepłego i lepkiego pokrywało mu twarz. Poczul w ustach smak krwi. Był tak przestraszony, że nie mógł krzyzczeć, Cortina kołysała się na dachu.

- Klik - klik - klik.

Przez potłuczone okna wsuwały się szczypcy.

Klekotały, szukały, cięły. Były wszędzie. Nie mógł przed nimi uciec. Zawył. Chwyciły go za kostkę. Zaczęły go ciągnąć, ale zaklinował się w oknie. Z drugiej strony chwyciły go za rękę.

Wydobył z siebie przeciągły krzyk i stracił przytomność. Po chwili jego ciało zostało rozdarte na strzępy. Kraby zajęły się wyciąganiem ciała przez okna. Głowa z szypą wyszły bez problem

gorzej było z zakrwawionym torsem, który nie chciał przejść przez otwory po szybach. Po paru chwilach rozścierzyły się jeszcze bardziej.

Patrzyły na szczątki, których nie mogły do-

sięgnąć. Wtedy jeden ruszył naprzód, pozostałe podążyły za nim. silne szczypce mocno chwyciły odwrócone drzwi. Mięśnie skorupiaka napięły się. Nic nie mogłoby się oprzeć tej sile. Wyrwane z zawiasów drzwi upadły na bole.

Krab sięgnął szczypcami do środka i wyciągnął ludzkie szczątki. Odciał kawałek, przeżuł i połknął. Słysząc było trzask łamanych kości.

Pozostałe kraby czekały nieruchomo. Żaden nie śmiał przerywać przywódcy. Pierwsza zdobycz tej nocy należała do niego.

## **Rozdział jedenasty**

— Dokąd idziesz? — Christine Blacklaw była zaskoczona widząc, że Ryland zamiast rozebrać się i pójść z nią do łóżka, wkłada sweter i dzinsy.

— Muszę rzucić okiem. Intryguje mnie ten facet, Bryant.

— Po co? Poluje na potwora jak wszyscy ci idioci, którzy siedzieli tu w zeszłym tygodniu. Co w tym dziwnego?

— Nic szczególnego, ale dziś jest pełnia księżycy i... może wpaść w tarapaty... jeśli wybierze się na przykład na bagna, tak jak ja.

— Albo spotka kraby.

— No właśnie.

— Jeśli wychodzisz, ja idę z tobą.

— Nie bądź głupia. Pójdę tylko zobaczyć, co z nim i natychmiast wrócę. Bryant pojechał wozem w kierunku majątku.

Szybko wyszła z łóżka i zaczęła ubierać się. Nagie • piersi kołysały się prowokująco, ale tym razem nie podziałało to wcale na Johna Rylanda.

— Poczekaj, wolałbym, żebyś tu została. — Ale jego protest nie był zbyt ostry. Wiedział, że jeśli coś postanowiła, nie ma sposobu, by ją zatrzymać.

— Jeśli ty idziesz, to ja też.

— W porządku. — Nie było sensu dłużej dyskutować. — Nie sędzę, żebyśmy zobaczyli coś ciekawego. chciałbym tylko pójść drogą do hotelu. Tą drogą jechał Bryant. Mogę się założyć, że nie pojechał obserwować ptaków. Był bardzo tajemniczy, jakby coś wiedział.

Christine zapięła dzinsy i związała włosy.

— Jestem gotowa, a ty? — spytała.

Zeszli po schodach i wsiedli do samochodu. Silnik zapalił i wyjechali na szosę.

Bruce McKechnie szedł powoli przez oświetlone księżycem wrzosowisko, krocząc po owczych ścieżkach, które nie zdążyły jeszcze porosnąć wrzosami, po ostatnim wypasie zwierząt. Kostka wciąż go bolała, więc stąpał ostrożnie, uważając, żeby nie wejść w jakąś dziurę.

Był ubrany w ciepły płaszcz, na głowie miał zarzucony kaptur. W kieszeni spoczywała latarka. Na razie wystarczyło mu światło księżycy, zresztą

wolał pozostać niezauważonym. Uważał, że to co robi, nie powinno nikogo obchodzić, a ostatnio — jak na jego gust — kręciło się tu zbyt wielu wścibskich facetów.

Tego ranka przyjechał nadinspektor, żeby się z nim zobaczyć w sprawie Jacka Rouse'a. Najbardziej nieprawdopodobne zdawało się być to, że nikt ostatnio nie widział krabów. Nawet z pomocą batyskafu nie stwierdzono ich obecności w jeziorze. Lord zastanawiał się, czy przypadkiem stwory nie skyły się w podziemnym tunelu i nie czekają na pełnię księżyca, to znaczy, że mogły wyjść na przykład dzisiaj. Czekał na te chwile i był przygotowany na spotkanie z nimi.

Chata leśniczego nosiła wyraźne ślady policyjnej rewizji. McKechnie zapalił latarkę i obejrzał pokój. Przedmioty były poprzestawiane, jakby ktoś robił tu spis inwentarza. Wszystko zostało dokładnie przeszukane. Brudne kalosze ustawione w kącie mogły świadczyć, że leśniczy chodził po mokrych lub błotniastych miejscach. Wszystko, co tu było, należało do Joe Kinleta, rzeczy Rouse'a spoczywały głęboko w bagnie.

McKechnie założył rękawiczki, ponieważ bał się, że mógłby zostawić odciski palców. Ale przede wszystkim, to czego szukał było bardzo niebezpieczne i musiał zachować szczególną ostrożność.

Po chwili znalazł pięciogalonowy, plastikowy pojemnik, wypełniony delikatnym, białym proszkiem — to było to, czego szukał.

Jack Rouse natknął się na niego w zeszłym roku koło Annan, gdy nakrył kłusowników na oddanej w

dzierżawę rzece. Powinien był go przekazać policji, ale McKechnie rozkazał ukryć znalezione.

Pojemnik był schowany pod schodami, w magazynie środków czystości. Lord wyniósł go na zewnątrz i przesypał część białego proszku do puszek. Następnie zamknął pojemnik i zaniósł go z powrotem na miejsce. Teraz ruszył w kierunku Loch Merse.

— Cyjanek — wyszeptał do siebie.  
— Kraby zdechną sobie cichutko i wreszcie wszyscy wyniosą się stąd.

Zatrzymał się nagle i wyteżył słuch. Z oddali dobiegał stłumiony i niewyraźny warkot silnika. W księżycowej poświacie wznosiły się ruiny hotelu, widomy znak siły i przebiegłości wrogów. Kraby były w stanie, w ciągu godziny, zburzyć coś, co stało tyle wieków.

Wody jeziora falowały spokojnie. Nie było widać żywej duszy. Żałował, że nie pomyślał wcześniej o truciznie, uniknąłby wówczas wszystkich tych kłopotów. Teraz miał zamiar zemścić się za wszystko.

Jakieś pięćdziesiąt jardów od brzegu jeziora znów się zatrzymał. Usłyszał samochód. Obawiał się, że może to być policja albo Ryland.

Myśl o nim rozwścieczyła go. Nie mógł dać sobie rady z tym facetem, który wciąż kręcił się po wiosce.

Samochód zwalniał. Silnik zaryczał na wstecznym biegu. McKechnie stał w świetle księżycy, nieruchomy, kompletnie zdezorientowany. Usłyszał uderzenie, a potem przerażający dźwięk, dochodzący z wąskiej drogi poniżej.

- Klik - klik - klik.

Kraby wyszły już z jeziora, były na drodze. McKechnie wiedział, że wciągnęły wóz w zasadzkę. Wciąż słyszał łoskot, trzask giętej blachy. Ktokolwiek był w aucie, nie miał szans. Prawdopodobnie kraby właśnie go pożerały.

Miał cichą nadzieję, że to John Ryland. Kraby dokładnie wykonywały swoją robotę. McKechnie uśmiechnął się. Marzył o tym, żeby zobaczyć tego aroganckiego skurwysyna wrzeszczącego ze strachu.

Lord przypomniał sobie, że powinien wrzucić cyjanek do jeziora, zanim wrócą skorupiaki. Chciał zrobić im niespodziankę. Nienawidził ich za to, że narobiły mu tylu kłopotów, zamiast siedzieć gdzieś w Arktyce.

— Klik — klik — zabrzmiało bliżej, gdzieś za nim.

Odwrócił się i zobaczył coś przerażającego. Upuścił pojemnik z trucizną, wpatrując się z niedowierzaniem w dziką bestię. Krab szedł w jego kierunku, przedzierając się przez zarośla. Wyciągał przed siebie tylko jedno ramię szczypiec.

Lord odwrócił się i zaczął uciekać. Zastana wiał się, czy krab jest zdeformowany, czy okaleczony?

Biegł bez tchu. Upadał, ale błyskawicznie się podnosił. Ból był coraz większy. Musiał zwolnić, kuśtykał, ciągnąc za sobą bolącą nogę. Wiedział, że nie uda mu się dobiec w bezpieczne miejsce. Mógł podążać w jednym tylko kierunku, równoległe do drogi, licząc, że będzie miał szczęście.

Krab był coraz bliżej, wciąż bliżej, już tylko jard! Nagle noga lorda zachlupotała w błocie.



I wtedy zrozumiał, że był na trzęsawisku. Noga ugrzęzła mu. Nie miał siły jej wyciągnąć. Próbował poruszyć drugą. Nie dał rady. Był w potrzasku.

Krab nie przybliżał się. Nagle zaczął grzęznąć. Bagno wciągało go bulgocząc. Stwór syczał. Jego oczy błyszczały dziko, ale tym razem to nie była nienawiść a strach! Przednie odnóża ruszały się w powietrzu, w szaleńczym geście rozpaczony i niemocy.

Krab wpadł w trzęsawisko.

McKechnie zaśmiał się głośno pomimo swego tragicznego położenia.

— Oto, co cię pokonało, przyjacielu — krzyczał — bagno Cranlarich. Jesteś za ciężki. Będziesz na dole szybciej niż ja.

Człowiek i krab przyglądali się sobie badawczo. Obaj wiedzieli, że zginą. Skorupiak syczał nienawistnie.

— Ty pierdolony, gruby skurwysynu — McKechnie klął głośno. — Przez ciebie, twoi koledzy nie będą się mogli wykąpać w cyjanku. Nie sądzę, co prawda, żeby im ta kąpiel wyszła na zdrowie, ale odkryłem, że was zabija to bagno. Powinienem wszystkich was tu przyprowadzić. Nigdy o tym nie pomyślałem, cholera! — zaczął się obłąkańczo śmiać.

Krab przypominał mu tonący statek. Szczypcy wystawały z mułu, jak ostatni gest wołania o ratunek. Potwór przestał syczeć. Pogodził się ze śmiercią. Bagno bulgotało chciwie.

Lord przestał walczyć. Błoto sięgało mu po szyję. Nie było już zimne. Szczelnie otulało jego ciało i ciągnęło w dół.

Zanurzył się na następnych parę cali i próbował wyciągnąć błoto z ust. Wziął głęboki oddech, jakby chciał

choćby o parę sekund przedłużyć życie. Myślał o wszystkich tych, którzy od niepamiętnych czasów tonęli w trzęsawiskach. Wyobrażał sobie, że spotka ich w głębinach. Zaczął się bać. Ostatni raz spróbował wyrwać się ze śmiertelnego uścisku, ale czarne, bezdenne błotni- sko pochłonęło go na zawsze.

— O, mój Boże! — Christine Blacklaw ścisnęła Johna Rylanda za ramię, gdy ten zatrzymał wóz.— To... to samochód Bryanta!

— A raczej jego szczątki — odrzekł Ryland, patrząc na kupę pogiętego żelastwa.

— Ale... ale jak on mógł się aż tak rozwalić? Wygląda, jakby uderzyło w niego dwadzieścia ton. Jest spłaszczony.

— Pójdę rzucić okiem. Zostań tu.

— Nie, John, idę z tobą. — Szybko wysiadła z wozu.

Zostawiwszy silnik na chodzie i włączone światła, podeszli do zdruzgotanej cortiny. Patrzyli z niedowierzaniem. Samochód nadawał się tylko na złom.

— Masz jakiś pomysł, John?

Wskazał kilka ciemnych plam na porysowanej karoserii. — To chyba krew.

— Och! — cofnęła się o krok. Strach jej ciało. — Może zdołał się gdzieś wyczołgać.

— Nie sądzę, aby można się było stąd wydostać — odparł ponuro. — I nie sądzę, że kręcenie się wokół tego wraka ma jakikolwiek sens. Lepiej będzie, jeśli wrócimy do Cranlarich i zawiadomimy policję o wypadku.

Nie słuchała go. Patrzyła na drogę. Próbowwała coś

powiedzieć, ale krzyk zamarł jej na ustach. Uniosła rękę, wskazując na coś.

— Co tam? — spojrzał w tył. — O Boże!

Byli otoczeni kołem nieruchomych stworów,

które przyglądały się im uważnie migoczącymi, czerwonymi oczami, przycupnięte, milczące.

Kraby musiały tam być cały czas, Ryland był tego pewien. Jego uwaga i czujność skupiły się *na* rozbitym wozie. Teraz wiedział, co przydarzyło się Martinowi Bryantowi, i że to samo spotka je- go.

Spojrzał na kraby kątem oka i przeliczył je. Piętnaście krabów ustawiło się w szyku bojowym.

Christine obserwowała je uważnie. Ogarnął ją strach. Cieszyła się, że jest teraz z Rylandem. Bez niego, życie dla niej nic nie znaczyło. Zastanawiała się, co stanie się z nimi po śmierci, ale właściwie nie miało to żadnego znaczenia. Bała się tylko o dziecko. Wiedziała, że jest w ciąży.

— Tylko spokojnie. — Szukał desperacko jakiejś drogi ucieczki.

Ścisnęła go za rękę. Nie mogła mówić, a tak chciała mu tyle powiedzieć. Ryland spojrzał na samochód. Silnik pracował. Za wozem coś się ruszało. Nie miał wątpliwości, że po łupkowej drodze stąpają odnóża skorupiaka. Jeden z nich ustawił się na drodze. Byli otoczeni.

Podświadomie przypomniał sobie wszystkich zaginionych — Jacka Rouse, swojego brata, Paula Barretta, Freddie Lawa, Canversa, Joe Kinleta i trzy kobiety, które pracowały w hotelu Cranlarich. W sumie dziewięć ofiar. Nikt nie przeżył, żeby zaświadczyć o ich istnieniu. Wydawało mu

się, że jakaś dziwna siła chroniła i prowadziła stwory.

John Ryland przytulił mocno Christine. W tej tragicznej chwili, w swych marzeniach wyrwali się śmierci i przenieśli w inny świat. Tu nie istniały kraby, nie istniało nic, prócz ich miłości.

## **Epilog**

Wiosna tego roku przyszła wcześniej niż zwykle. Walijskie wybrzeże - skąpane było w promieniach słońca.

Turyści zaczęli już zjeżdżać na Święta Wielkanocne. Korki tworzyły się już od Dinas Hawdehy. Silniki się przegrzewały. Słiel Island przeżywała przedwczesny napływ turystów.

Długie, złote plaże wypełnione były tłumem ludzi. Kilku śmiazków moczyło się, chociaż woda była lodowato zimna. Ludzie zadowalali się więc grą w piłkę i krykieta. Dzieci stawiały zamki z piasku. Pogoda wciąż była piękna.

Sznur samochodów i przyczep ciągnął w jasny, niedzielny poranek do Barmouth. Wszystkie parkingi były już zajęte.

Milton Hogarth przyjechał do Barmouth w Wielki Piątek, rano. Jego zachowanie i wygląd zdradzały wyższy od przeciętnego status społeczny. Niewątpliwie przekroczył już czterdziestkę. Kruczoczarne włosy falując, opadały na kołnierzyk rozpiętej pod szyją, sportowej koszuli. Jego ciało

było muskularne, bez grama zbędnego tłuszczu. Golf, tenis i badminton, trenowane latami, podtrzymywały świetną kondycję fizyczną.

Było w nim coś z dobrodusznego kawalera. Małeńki wąsik, błyszczące oczy wypatrujące przede wszystkim ładnych, młodych dziewczyn. Jednak tym razem, nie zachowywał się aż tak niedbale jak zwykle. Niebieskie oczy lustrowały wszystko uważnie, czasem nawet spoglądały u- kradkiem. Pałac papierosy, chodził bez celu wzdłuż promenady. Był człowiekiem żyjącym teraźniejszością, nigdy nie pamiętał, co zdarzyło się przed czterema czy pięcioma dniami.

Milton Hogarth, nie mógł już tak dłużej żyć. Jego interesy szły dobrze, ale wplątał się w zbyt wiele układów. Chciał zgarnąć pieniądze i nic więcej. Zaplanował więc starannie kilka następnych dni. Postanowił zainscenizować własne zaginięcie i ogłosić, że Milton Hogarth nie żyje. Wybrał już nowe nazwisko — Ralph Johnson. Wystarczająco pospolite, ale nie aż tak jak Smith czy Jones — co mogłoby budzić podejrzenia. Hogarth miał pieniądze, mnóstwo pieniędzy. Wszystko w pięciofuntowych banknotach, rozważnie gromadzonych przez lata, pieniądze, które doprowadziły Hogarth Industries do bankructwa. Jego wspólnik, Ken Jenkinson miał zostać sam przy sterze tonącej łodzi. Hogarth był dumny ze swego genialnego planu.

Zatoka Cardigan błyszczała w jasnym świetle

wiosennego słońca, mieniła się ciepłym błękitem, kusząc przyjezdnych, a potem wypływając krzyczących z zimnej wody. Zadrżał.

Na plaży panowała radosna atmosfera. Słychać było głosy sprzedawców lodów i bawiące się dzieci. Ludzie śmiali się i cieszyli zabawą w słońcu. Hogarth usiadł na ławce i próbował się odprężyć. Nie mógł; wciąż studiował swój plan, bojąc się, czy czegoś nie przeoczył. Nie znalazł żadnych słabych miejsc. perspektywa wynajmowania kolejnych mieszkań przez parę tygodni nie pociągała go, ale wiedział, że musi się przyzwyczaić do nowej tożsamości. Ralph Johnson naprawdę miał stać się nowym człowiekiem.

O dziesiątej Hogarth zaczął przechadzać się po hotelu. Wydawało mu się, że wszyscy świdrują go wzrokiem.

Zmuszał się do spokoju, gdy szedł po Marinę. Paradę, z rękami schowanymi głęboko w kieszeniach. Parę dziewczyn prowokacyjnie patrzyło na niego. Spojrzał na nie, ale potem odwrócił wzrok. Pomyślał, że wkrótce będzie miał mnóstwo kobiet, i że każda da się przerznąć Ralphowi Johnsonowi.

Jego samochód stał zaparkowany przy przystani. Hogarth zauważył jakiś papier za wycieraczką. Była to opłata za parkowanie. Uśmiechnął się z politowaniem i wszedł do wozu.

Przejechał przez most i skręcił w lewo, w drogę na Harlech. Przyśpieszył, chciał być jak najprędzej

na miejscu.

wjechał do Llanbedr. Zobaczył drogowskaz do Mochnas i skręcił w lewo.

Mógł jechać prosto na Shell Island, ale nie miało to sensu. Kilkaset jardów dalej zjechał na pobocze. Zgasił silnik i wyłączył światła. Westchnął głęboko i zawahał się. Mógł jeszcze wrócić.

Dokonał ostatecznego wyboru, wysiadł z wozu. Zamknął drzwi, sprawdził bagażnik. Cała jego przyszłość leżała w jednej skórzanej walizce. Nie mógł stracić szansy.

Ruszył szybko smołowaną drogą. Księżyc już wzeszedł, wspinał się nad zatoką, nurzając wzgórze w srebrnym świetle. Po lewej stronie zauważył otoczoną wysokim ogrodzeniem bazę RAF-u. Wszedł na groblę i minąwszy farmę, zbliżał się do wyspy. Usłyszał jakieś głosy, dochodzące z obozowiska turystów. Miał nadzieję, że żadnemu z nich nie zechce się kąpieli w świetle księżyca. Przed nim rozciągał się cudowny widok na spokojną, błyszczącą zatokę.

Drżał, gdy zdejmował rzeczy, układał je starannie, żeby były widoczne. Pozostał tylko w kąpielówkach.

Teraz, Hogarth musiał przepłynąć spory odcinek wzdłuż brzegu, żeby nie pozostawić śladów prowadzących z powrotem w kierunku plaży.

Był już prawie w wodzie, kiedy spostrzegł, że coś poruszyło się. Wydawało mu się, że gład leżą- cy w



wodzie unosi się w górę, to znów opada. Nie mógł w to uwierzyć. Nagle błysnęły czerwone światelka i skała zaczęła przybliżać się do niego. Hogarth w ułamku sekundy zorientował się, że to nie żaden kamień czy głaz, ale jakieś potworne zwierzę.

— Klik — klik — klik. — Usłyszał cały chór dźwięków, przed sobą.

Cofnął się. Stwory tuzinami wychodziły z morza. Zmieniły kierunek, szły w jego stronę.

chciał biec. W głowie mu się kręciło. wybuchnął śmiechem. Pomyślał, że to oczywiście, sprawka RAF-U. — Jakież głupawe, nocne ćwiczenia. Wciąż się śmiał

Ale kraby były blisko, niecałe dziesięć jardów od niego. Klekotały uniesionymi szczypcami. Stały w bojowym szyku. Patrzyły na niego. Śmiech zamarł mu na ustach. Złowrogie ślepia świdrowały go na wylot jak żywe, czerwone węgle. Przełknął ślinę.

Zapomniał o wszystkim, o pozorowanym samobójstwie, o nowym życiu. Wiedział aż nadto dobrze, że życie Miliona Hogartha skończy się naprawdę.

Jeden z krabów ruszył na niego, wielki, półtora raza większy niż pozostałe. Wysunął szczypce i chwycił Hogartha, miażdżąc mu czaszkę i łamiąc kości. Kraby rzuciły się na ofiarę, rozszarpywały mięso. Przepychały się, chcąc dostać choć kawałek. Po chwili nic nie zostało. Krew rozplynęła się w

mokrym piasku i wsiąkła. Milton Hogarth zniknął.

Po tygodniu pogoda znów się zmieniła. Zrobiło się zimno, zaczął padać deszcz ze śniegiem.

Wielkanocni goście rozjechali się do domów.

Wczasowicze wrócili na walijskie wybrzeże dopiero w Lipcu. Przyjeżdżali tysiącami, zapelniali plaże, rozkładali namioty na Shell Island.

I wtedy kraby wróciły.